Nr. 22. Warszawa, dnia 22 Maja (3 Czerwca) 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

FILOZOFIA — NAUKI SPOŁECZNE — NAUKI PRZYRODNICZE — HISTORYA — JĘZYKOZNAWSTWO — SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

Grono poetów zwróciło się do nas z prośbą o odroczenie terminu konkursu poetyckiego i tym sposobem umożliwienie przyjęcia w nim udziału. Pragnąc powołać do współzawodnictwa jak najliczniejszy zastęp autorów, a przytem pobudzić ich do obdarzenia literatury utworami, które nawet po za wybranym do nagrody mogą mieć wielką wartość, przedłużamy nasz konkurs do 1 października.

Szan. Abonentów półrocznych i kwartalnych prosimy o odnowienie prenumeraty.

POLITYKA.

Konferencye w Hadze.

II.

Pierwotny program, zakreślony w granicach troski o wciąż rosnące uzbrojenia, jak widać z samego już okólnika styczniowego, znacznie się rozszerzył: objął stosunki, o których zrazu wcale nie myślano. Stało się to z konieczności. Ponieważ raz rzucona myśl odbycia narad międzynarodowych nie mogła wrócić do swego ogniska bez wywołania w rzeczywistości skutku odpowiadającego zamiarowi, a pierwotnie określony przedmiot narad po rokowaniach wstępnych napotkał przeszkody, które nie wróżyły mu powodzenia: przeniesiono tedy środek ciężkości przyszłych konferencyi na przedmioty inne, pierwotnemu pokrewne, również w obrębie wojny leżące, z pojęciem jej ściśle związane; dodano do programatu narady nad prawami i zwyczajami wojennemi, oraz nad temi wymaganiami ludzkości, które już jako prawo uznane przez wszystkich wytworzyły były konwencyę genewską z d. 22 sierpnia 1864 r. W pierwszym z tych przedmiotów przewaga padła na sam sposób prowadzenia wojny, na środki używane w walce; w drugim na potrzebę objęcia stałą opieką, w Genewie dla wojen lądowych tylko ustanowioną, również i wojen morskich. Owe przepisy dodatkowe z d. 20 paźdz. 1868 r. wprawdzie pozwoliły uczuciom ludzkości wypromienić się i na morze, ale to promieniowanie było tak słabem, że dla skuteczności swej potrzebowało koniecznie wzmocnienia przez nową umowę.

Raz rozszerzony a raczej zmieniony, programat narad rozszerzalność swoją stwierdził w kierunku, którego początkowo, dopóki mowa była tylko o ograniczeniu uzbrojeń i budżetów, przewidzieć nawet nie było można. Już nietylko samą wojną, olbrzymią do niej gotowością, ale środkami pokojowemi, któreby przy największem nawet ograniczeniu uzbrojeń i budżetów zapobiegać jej mogły, zająć się miała dyplomacya przy pomocy techniki mózgowej, profesorskiej i urzędniczej. Umyślna komisya roztrząsnąć ma widoki sądów rozjemczych jako obowiązku stałego a powszechnego, wcielonego w stałą też i powszechnie uznaną zasadę prawną i, jeśli już nie w instytucyę, jaką ma, naprzykład, dla siebie opieka ludzkości nad rannymi w boju. Jeśli się zsumuje wszystkie te zamysły, wskazania, przedmioty na które narady rozciągnąć się mają, dozna się takiego wrażenia, jak gdyby w Hadze chciano zrobić zawiele dobrego. Za takiem wrażeniem kroczy zaraz obawa, aby nie zrobiono za mało, aby tej lub owej sprawy ważniejszej z pośród dodanych do pierwiastkowego programatu nie odłożono na później, na rok przyszły, na lata następne — na święty nigdy może.

Formalnie główny przedmiot konferencyi, ograniczenie uzbrojeń, w przeświadczeniu powszechnem najmniej na powodzenie liczyć może. Zrzeczenie się zbrojności, choćby w najdrobniejszej cząstce, w najskromniejszym zakresie, musi być zrzeczeniem się prawa, abdykacyą woli, która w stanie zupełnej indywidualizacyi z istoty swej chce być bezwzględną, nieograniczoną, nieskończoną w swych drgnieniach. Gdy moje *ja* jest jedyną nade mną władzą, jedynym dla mnie celem, co mnie skłonić może do ograniczenia mojej potęgi, do zaniechania zamysłów, dla których potęgi tej potrzebuję? Tak rozumuje państwo, państwo nowożytne, silniej zcśrodkowane, potężniej siebie i moc swą odczuwające, niż państwo wieków dawniejszych i najdawniejszych. A prócz samowiedzy i ambicyi jeszcze i instynkt zachowawczy ocknąć się musiał. Gdzie pewność, że mój sąsiad zrobi to samo, co ja nieopatrznie przedsięwezmę? Gdyby zrobiono początek, gdyby mi dano przykład i zachętę — danoby też i rękojmię. Bez niej niebezpieczeństwo mi grozi. Przy dobrej nawet woli, gdzie jest równa, jedna dla wszystkich miara i czy można ująć ją w jakąś stałą liczbę? Musiałyby się urządzenia wojskowe ujednostajnić, aby można było wskazać jakąś jedną dla wszystkich normę ilościową, jeden wspólny stosunek do statystycznej zasobności danego zbiorowiska istot ludzkich i zamieszkiwanego przez nie terytoryum państwowego. Musianoby wydzielić z całości sił zbrojnych każdego państwa tę część,

której ono u siebie na własnem swojem terytoryum przeciwko własnej, rządzonej przez siebie zbiorowości potrzebuje—a jak tego wydzielenia dokonać? Wszelkie takie obliczenia, bez których nietylko o uszczupleniu zbrojności rzeczywistej obecnej, ale o ograniczeniu uzbrojeń, o zaniechaniu ich na przyszłość, mowy być nie może — nie dadzą się wykonać bez poprzedniego zmiękczenia egoizmów państwowych jakąś zasadą, myślą i uczuciem wspólności w jakichś prawach i obowiązkach. Przypuszczenie zaś wspolnych praw i obowiązków prowadzi z nieprzepartą logiką do domniemania wspólnej też organizacyi woli zrzeszonej, występującej na miejsce rozpierzchłych samowoli.

Pozostałe zadania są do osiągnięcia łatwiejsze, ale wcale nie łatwe. Najgładziej pójść może z konwencyą genewską, z rozciągnięciem wszystkich jej przepisów i ustanowionych urządzeń na wojny morskie. Tam przecież ludzkość jest bardziej skrępowana, miłosierdzie mniej ma swobody ruchów, niż w wojnach lądowych, a srogość losu, okrucieństwo zagłady i samo niebezpieczeństwo obsługi miłosiernej ograniczają doniosłość działań, na jakieby pod hasłem krzyża czerwonego wróg zwyciężający, zwycięztwa bliski, zwierzęcą żądzą jego rozpalony, pozwolić zechciał. Prawdopodobne też jest złagodzenie samych sposobów wojowania, oręża i pocisków — głównie na morzu. Ostrogi u okrętów, torpedówki podwodne, bomby gorejące naftowe — może będą z cywilizacyi naszej usunięte. Kule złączone armatnie, kule wybuchające karabinowe może i przeciw t. zw. dzikim nie będą mogły być prawnie używane. Inne jeszcze ulepszenia, ze stanowiska elementarnej litości człowieka nad człowiekiem, a raczej z samej miłości życia płynące, mogą wejść w prawo pozytywne międzynarodowe. Pomysły i chęci niewykraczające po za obręb samej metody niszczenia w boju, mogą wogóle liczyć na urzeczywistnienie się; posępniejsze są już widoki narad nad politycznem zachowaniem się w kraju nieprzyjacielskim. Ćwierć wieku upływa już od konferencyj brukselskich nad sposobem prowadzenia wojny; podpisany wówczas, d. 27—8 sierpnia 1874 r., protokół czeka na uznanie za prawo obowiązujące: a w przyszłej wojnie po dawnemu każdy naród słabszy lub nieszczęśliwszy w boju, wraz z nim zaś i ludzkość, skazana jest na prawo dyktowane przez silniejszego lub szczęśliwszego zwycięzcę. Jeszcze w r. 1863 Stany Zjednoczone wydały, dla siebie, z powodu ówczesnej wojny domowej, jako prawo dla systemu państw europejskich jako zachęcający projekt, kodeks wojenny międzynarodowy, od którego w niejednym punkcie odbiega pomieniony protokół, oba dopominają się roztrząśnięcia, uchwalenia jakiegoś wspólnego porządku. I w przedmiocie sądów rozjemczych dyplomaci w Hadze nie potrzebują sobie głów łamać nad inicyatywą: mają gotowy już projekt, ułożony d. 28 sierpnia 1875 r. przez „Institut de droit international" w tej samej Hadze, którą osobami swemi już zaszczycili, a pracami swemi wsławić mają. Jeżeli czego, to nie rozumu, nie wiedzy i możności zrobienia czegokolwiek użytecznego braknie intelektualnym siłom konferencyi.

Tydzień polityczny. Na konferencyach w Hadze wiadome trzy komisye, a w tych komisyach podkomisye w ubiegłym tygodniu dopiero rozpoczęły swe czynności; wojenna d. 29 z. m. rozprawiała nad pociskami. Anglicy upierali się przy swoich kulach wybuchających, *dum-dum*, używanych przeciwko t. zw. ludom dzikim — jak gdyby dzikimi nie były i cywilizowane! Praktyka taka wręcz gwałci konwencyę petersburską z r. 1868, która zakazała pocisków wybuchających wagi mniejszej od 400 gramów, a więc karabinowych, jakich właśnie używa naród kroczący na czele cywilizacyi. W podkomisyi rozjemstwa przed wojną za podstawę wzięto projekt rosyjski: Amerykanie i Włosi wnieśli poprawki, nad któremi do d. 30 z. m. jeszcze nie rozprawiano. Włosi, lękając się o wojnę, żądają, aby środki pokojowe nie tamowały przygotowań wojennych. Obrady konferencyj są tajne. Komisye same donoszą dziennikom o swych czynnościach. Nic nie słychać o podkomisyi ograniczenia uzbrojeń; słychać za to o odroczeniu obrad zaraz po uchwaleniu zasad rozjemstwa przed wojną. W roku przyszłym mają się zebrać dwa ciała radzące: jedno nad konwencyą genewską, drugie nad zneutralizowaniem, to jest uznaniem własności prywatnej na morzu. Dopominał się tego już w r. 1875 „Institut de droit international."

D. 29 z. m. rozpoczęły się jednocześnie rozprawy sądu kasacyjnego nad wyrokiem na Dreyfusa, i postępowanie główne w sprawie Haberta i Derôulède'a, którzy w dniu pogrzebu Faure'a, w styczniu r. b. w Paryżu namawiali oddział wojska gen. Rogeta do obalenia rządu. Obaj oskarżeni przyznali się do winy, obaj paradowali swym patryotyzmem i wieszali psy na dzisiejszym ustroju politycznym Francyi, nazywając go parlamentaryzmem. Deroulede krytykował wybór Loubeta, którego uważa za lichą miernotę. W sądzie i w opinii jest skłonność do uniewinnienia.

W sprawie Dreyfusa sprawozdawca Ballot-Beaupre w ogromnym operacie postawił wniosek za rewizyą, tj. odesłaniem całej sprawy przed inny sąd wojskowy; ma nim być podobno sąd w Brest. Prokurator Manau taką samą postawić ma konkluzyę. Wyrok sądu z góry już przewidziany — za rewizyą. Narodowcy, intryganci, dyletanci polityczni, poeci trzymający z Henrym, Paty du Clamem i honorem armii, nawet zbrukanym, zaczynają się wycofywać ze szranek. W przekonaniu sprawozdawcy i prokuratora owo *bordereau*, za które potępiono Dreyfusa, napisał Esterhazy. Dreyfus może się jeszcze okazać winnym z mocy innego jakiego dowodu: a swoją drogą rewizya była, jest i będzie koniecznym aktem rozumu i uczciwości.

Ugoda Przedlitawii z Węgrami stanęła nad przepaścią. Strony rokują z sobą już tylko za pośrednictwem hr. Gołuchowskiego. Węgrzy żądają dla siebie przywileju bankowego do r. 1910, a w zamian dają Przedlitawii wspólność w cłach i skarbowości handlowej tylko do roku 1903. Wydzielenie się samoistnego banku węgierskiego nie wzmocniłoby dualizmu. Ugoda powinna być stałą, wieczystą, a tylko kwota u-

WESELE.

Na zachodzie słońce płonie,
Krwawi złote rżyska;
A po drodze długim ciągiem
Jedzie wasąg za wasągiem.
Piach z pod kopyt tryska:
Żwawo, raźnie idą konie,
Bo już stajnia blizka
A na wozach młode dziewki
Szczerzą białe zęby,
W włosach niby chorągiewki
Furczą barwne wstęgi.
Przy nich chłopcy niby dęby,
Czapki ich rogate.
Pali z bata furman tęgi,
Bo już widać chatę.
Znikli nagle śród drzew cieni,
Skręcili w podwórko.
— To, kowalczuk, Stach się żeni
Z gospodarską córką.
„To kowalczuk Stach się żeni
Z córką gospodarza!" —
W nędznej chatce głos Tereni
Bezmyślnie powtarza.
Stara babka garnie ręką
Wnuczkę swą do serca...
„Babus — widzisz — klął się męką,
A dziś przeniewierca!
Czyż nie znalazł miodu w chlebie
Mym, pomocy w kuźni?
Nie!... Bóg chyba umarł w niebie!.."
„Oj, dziecko, nie bluźnij!"
Szepcze babka, wnuczkę ściska.
„Nie, babciu, nikomu
Nie dam z siebie pośmiewiska,
I nie zniosę sromu!...
Kaśka krzywa, lecz ma wiele...
Stach chce być bogaty,
Lecz ja sprawię im wesele!"
I skoczyła z chaty,
I zginęła w nocy cieniu.
Próżno babka blada
Woła: „wróć się, wróć Tereniu!"
– Nikt nie odpowiada...

* *
*

W wielkiej izbie ludu — rety!
Krzyk śmiechy i tany,
Barwne kręcą się gorsety,
I jasne sukmany,
Płynie piwo i siwucha,
I gwarno i ludno,
A muzyka tnie od ucha,
Że aż ustać trudno.
Hej, zawracaj od komina!
Jak puszczona fryga
W miejscu wierci się dziewczyna,
Że aż w oczach miga.
Naokoło niej się kręci
Stach na kształt obręczy:
Płaczą skrzypki bez pamięci,
A bas — wtór mu jęczy...
Na tańczących Kasia zerka
Zła, kwaśna nierada.
„Tęgo chłopak rznie oberka
Widać zuch nielada!
Rychło wnuczek wam zakrzyczy,
Poczciwi Macieje."
Tak kumowi Wojciech życzy,
Kum mu piwo leje.
Gwarzą sobie gospodarze
I suszą naczynie.
Kujawiaka ktoś grać każe,
I melodya płynie,
Dziwna taka, iż nikt nie wie
Co znaczy to granie,
Bo w wesołym skrzypek śpiewie
Drga chwilami łkanie,
Jakby silił się swe skrzydła
Rozpuścić śmiech złoty
I co chwila wpadał w sidła
Tajonej tęsknoty.
Z zagadkowej tonów treści
Widać to jedynie,
Że w tym śmiechu łza się mieści,
Tak, jak w butnej minie
Ból swój chowa skryty, hardy
Chłop nasz, zawadyaka
I swej doli wznak pogardy
Śpiewa kujawiaka.
Śmiech nerwowy skrzypka głosi;
Płaczą basu struny,
A na niebie się podnosi,
Jakby odbrzask łuny.
— Co to!? — lęk się w duszę wwierca
I wszystkich przenika,
Niepokojem targa serca.
Zamarła muzyka.
Tłum się ciśnie ku drzwiom: jasno!
Jęknął dzwon z kościoła.
– Pożar! gore! – głosy wrzasną,
Maciejów stodoła!
Zorza wkoło, tak jak do dnia.
Dzwon się jękiem żali.

działu we wszystkich wypadkach peryodycznie oznaczaną, nie przez sejmy, ale przez delegacye wspólne.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

POD GROZĄ.

Rozstrzygnięta w tych dniach sprawa sądowa bandy przestępców z Piaseczna, odsłania jaskrawy obraz teroryzmu, pod którym złoczyńcy trzymają społeczeństwo spokojne. Fakty, ujawnione w sądzie są tak znamienne, że nie można ich milczeniem pokryć. Banda składała się z dwunastu członków, *) miała swego przywódcę i prezesa, odbywała posiedzenia i narady. Celem ich było zmuszanie mieszkańców do płacenia im stałego haraczu. Oporni padali ofiarą rabunków i gwałtów. Złoczyńcy działali nadzwyczaj zuchwale i bezkarnie o *kilkanaście wiorst* od Warszawy w ciągu *trzech lat* (od r. 1895 do 1898). Gnębili mieszkańców Piaseczna całkiem jawnie, nie tając przed nimi ani swej organizacyi, ani celów. Znano wybornie ich nazwiska i mieszkania, wiedziano, że odbywają narady i wydają wyroki, a jednak nikt nie śmiał ich zdradzić, nikt w ciągu trzech lat nie odważył się zawiadomić władzy, w obawie o swoje życie i mienie. Wszelkie żądania złoczyńców spełniano bez oporu i tym sposobem doprowadzono ich zuchwalstwo do granic najwyższych. Z *osiemnastu* spraw, wytoczonych w ostatnich latach uczestnikom bandy o rabunki i kradzieże, *tylko w jednej* zapadł wyrok, którego mocą skazano *jednego* opryszka. Wszyscy inni wyszli bezkarnie, dzięki temu, iż postrachem zamknęli świadkom usta i kazali im cofnąć skargi. Świadkowie z rzemiosła, świadcząc fałszywie przyczynili się ostatecznie do uwolnienia złoczyńców od wszelkiej odpowiedzialności.

Rezultatem tych spraw były jeszcze większe gwałty i teroryzowanie spokojnych mieszkańców. Co noc złoczyńcy zbierali się w mieszkaniu swego kierownika, Hersza Tyla, określali tam liczbę i jakość datków, które nazajutrz mieli ściągnąć z mieszkańców Piaseczna. Do wykonywania uchwał delegowano osobnych członków „Towarzystwa.“ Ofiarom swoim zuchwale i otwarcie opowiadali oni szczegóły narad i postanowień.

Jeżeli taki delegat stanął na progu mieszkania człowieka, skazanego na haracz, ten wiedział już, o co chodzi i musiał z całą uległością poddać się wyrokowi; bo w razie najmniejszego oporu za chwilę przybywało kilku opryszków i grożąc podpaleniem, morderstwem lub poprostu dotkliwem biciem, zmuszało do spełnienia żądań. Doszło do tego, że prawie nie było mieszkańca w Piasecznie, któryby nie opłacał haraczu złoczyńcom. Godnym uwagi jest fakt, że unikali oni zamożnych, jako niezależnych, a więc niebezpiecznych dla bandy. Natomiast niemiłosiernie gnębili rzemieślników i robotników, tak dalece, że ci nieszczęśliwi, nie mając ani grosza przy sobie, musieli się zapożyczać, ażeby opłacić haracz i tym sposobem kupić sobie spokój na pewien czas. Nawet niestali mieszkańcy Piaseczna musieli opłacać podatek za prawo pozostawania na miejscu. W przeciwnym razie złoczyńcy robili to, że oporny nie mógł nigdzie znaleźć zajęcia.

Oto przykłady pojedyncze, charakteryzujące działalność opryszków: Ktoś sprawił sobie nowe palto i wyszedł w niem na ulicę. Natychmiast do niego zgłosił się posłaniec bandy i wręczył kartkę, podpisaną przez dwu jej członków, z żądaniem zapłacenia trzech rubli podatku za nowe palto. Skazany nie opierał się, lecz prosił tylko o zmniejszenie haraczu do rubla. Posłaniec odrzekł, że sam nie może decydować, lecz wieczorem wniesie tę sprawę na posiedzeniu „Towarzystwa.“ Jakoż na tem posiedzeniu zniżono podatek do 1 rb. 50 kop. Od jakiegoś szewca zażądano opłaty za prawo trzymania pomocników. Ten odmawiał z początku, to też żaden robotnik nie mógł u niego wytrzymać długo: złoczyńcy bili każdego i wypędzali. Szewc musiał w końcu wejść w układy i po kilku poczęstunkach załatwił sprawę polubownie: zapłacił podatku 10 rubli. Od pewnego krawca, który wydawał córkę za mąż, zażądano 10 rubli okupu. Gdy ten się nie zgodził, w nocy napadło na niego w mieszkaniu czterech opryszków z nożami i rewolwerami. Krawiec po długich targach zapłacił $6\frac{1}{2}$ rubla.

Sąd, po rozpoznaniu tej sprawy, do której wezwano 60 świadków, uniewinnił zupełnie czterech oskarżonych, sześciu zaś skazał bądź na pozbawienie wszystkich praw i przywilejów, tudzież na osadzenie w rotach aresztanckich, bądź na więzienie. Przywódca i jeden z uczestników zbiegli bezkarnie.

Jest to tylko jeden obrazek z okolicy podmiejskiej. Mniej więcej pod takim samym teroryzmem złodziei i rabusiów jest trzymana ludność innych okolic miasta i kraju. Wszyscy znają złoczyńców, wszyscy wiedzą o ich kradzieżach i rabunkach, ale nikt nie ma odwagi zwrócić się do władzy. Dopiero skargi oświeconych mieszkańców prowincyi, wypowiadane bądź za pośrednictwem pism, bądź wprost zwró-

*) Oto ich imiona i nazwiska: Hersz Lejzor Tyl (przywódca), Jankiel Goldeberg, Jankiel Hildebrandt, Zelman Rufman, Abraham Rufman, Moszek Lemberg, Szlama Lemberg, Hersz Geldbart, Dawid Miller, Jurek Bender, Elja Mokaztajn i Moszek Chazner.

— Jezu, Marya! — jak pochodnia,
Tak się gumno pali.
Dym się kłębi w krwi powodzi
Czarny, jak atrament,
Na ratunek spieszą młodzi,
Wśród bab płacz i lament.
Płot złamano, lecz od żaru
Cofnęła się rzesza:
Na obłokach znak sztandaru
Ogień swój zawiesza,
Znak zwycięzki krwawy.
Lecą iskry, jak gołębi
Wypłoszonych stada,
W tle czerwonem dym się kłębi,
Jak potoki lawy.
„Ha, cóż, trudna rada,
Chłop się całe lato głowi,
I poszło do licha!
Chwała panu Jezusowi,
Że choć noc dziś cicha!“ —
Z wdzięcznem sercem szepczą ludzie,
Darząc Boga chwałą,
Że w potęgi swoim cudzie
Zbawił wioskę całą.
Tylko Maciej włosy targa
Białe, jak kądziele,
A z ust Kasi płynie skarga:
— Boże! — to wesele!
Niesycony ogień kona
Sam swe siły niszczy,
Już dym tylko bucha z łona
Poczerniałych zgliszczy.
Lud chce odejść. Nowa trwoga:
Straszny jęk z pod serca
— Och! — ratujcie o la Boga! —
Powietrze przewierca.
Zadygotał tłum, jak trzcina.
Wystraszeni chłopi
Pędzą bez tchu, gdzie gęstwina
Wysokich konopi.
Coś bieleje pośród cienia:
To Stach! — w ogniach oczy.
I ktoś jeszcze — to Terenia.
Stach w sploty warkoczy
Zatopiwszy dłoń, na ziemię
Przemocą ją zwala,
Szepcząc! — Ścierwo! Sucze plemię!
Ot kto nas podpala!
Ryknął, widząc ludu wiele,
Rozwarł palców kleszcze.
Po dziewczyny drżącem ciele
Przeleciały dreszcze.
Potem płomień zalał lice,
I z obłędem w twarzy
Obróciła swe źrenice
Na tłum gospodarzy.
Potem zbladła, jak gips maski:
„Tak! — ten dym się ściele,
Rzekła dziko — z mojej łaski.
To moje wesele!“
Cicho. Straszna chwila ciszy,
Słychać tylko tyle,
Że pierś chłopów ciężko dyszy,
I że w każdej żyle
Krew się burzy. Pomruk wściekły
Przeciągnął po tłumie;
Krwawe widma się przewlekły
Po mętnym rozumie.
W każdej piersi grzmiało słowo
— Jeden dźwięk — jedyny:
Podpalaczka! I nad głową
Stojącej dziewczyny
Warkły drążki w krzepkiem ręku,
Bosak i kłonica.
I zwaliła się bez jęku,
Jak zgaszona świeca.

* *

Spokój wkoło. Sierp miesiąca
Niknie. Niebo zbladło.
Lekki wietrzyk zlekka trąca
Sennych wód zwierciadło.
Ściąga z niego blado-sine
Lotnej mgły koronki
I rozwłóczy tę tkaninę
Po powierzchni łąki;
A na wschodzie nieba ołów
Zwolna się przeczyszcza:
Świt rozwidnia garść popiołów
Sczerniałego zgliszcza.
Błyskiem ognia, krwi kaskadą
Zorza się rumieni
I otula w blaski bladą,
Zimną twarz Tereni.
Stróż, co zbrodni śladów strzeże,
Patrząc w nieba kranice,
Mruczy głośno swe pacierze
I liczy różaniec.
W chatach ciemno. W śnie bez marzeń
Śpią mieszkańcy wioski,
Bez mar przeszłych, krwawych zdarzeń,
Bez widm — przyszłej troski.

G. Daniłowski.

cone do władzy, wyświetliły stan rzeczy i wywarły pewien skutek. Między innemi *Warszawskij Dniew.* pisze w tej sprawie: „Czyż władzom powiatowym, jako najbardziej zbliżonym do ludu, nie wiadomo o bezprawiach, dokonywanych niemal pod ich okiem? Choćby nawet nie było doniesień urzędowych, to same pogłoski i opowiadania powinnyby wystarczyć dla przedsięwzięcia środków, które mogłyby w znacznym stopniu zmniejszyć rozmiary złego." Na poparcie tych twierdzeń *Warsz. Dn.* przytacza następujące przykłady: Pewien naczelnik straży ziemskiej ustanowił nadzór nad punktami przepraw, wzmocnił straż nocną po wsiach, zalecił włościanom urządzenie patroli na drogach, któremi przemykają się złodzieje koni. Rezultaty tych zarządzeń podobno były pomyślne. Kradzieże ustały prawie zupełnie. „Dogodniej jest oczywiście — pisze organ powyższy — patrzeć na złe przez palce i udawać, że się go nie dostrzega. Ale za spokój taki zbyt drogo musi płacić ludność, która ma prawo liczyć na inne pojmowanie obowiązków ze strony władz powiatowych: obowiązków nie poprzestających na powiększaniu liczby „spraw" i papierów," lecz posiadających w myśl prawa nieco „szersze" znaczenie. Czy dla miłego spokoju można np. zapominać o przepisach, zabraniających włóczęgostwa cyganów, którzy koczują całymi taborami? Zbadać, skąd się wzięli ci amatorowie koni, synowie stepów i odsyłać ich do miejsca zamieszkania, jest prostym obowiązkiem policyi powiatowej...." „Dziwnie brzmią słowa korespondentów, że do władz miejscowych nikt się nie zwraca, gdyż włościanie boją się zemsty. Możnaż przypuszczać, aby gwałciciele prawa i złoczyńcy, czyhający na cudze mienie, byli silniejsi od władzy rządowej?!"

Przedsięwzięte w ostatnich czasach pewne zarządzenia energiczne i reformy w organizacyi bezpieczeństwa publicznego na prowincyi, każą przypuszczać, że z czasem stan rzeczy znacznie się poprawi. Ważnym jeszcze warunkiem powinno być usunięcie „pobytowców," którzy dziś przymusowo osadzeni w różnych okolicach, są klęską dla ludności. I tutaj widzimy pierwszy krok do pomyślnej reformy: mianowicie wysyłanie z kraju recydywistów. Środki doraźne a energiczne, chociażby nie sięgające do głębi gruntu społecznego, już same przez się w tym razie mogą przynieść pewną ulgę.

Z GALICYI.

Niemoc tutejszego społeczeństwa. — Emigracya. — Co przyniosła nam zmiana polityki? — Niemieckie zachcianki. — Gdzie niebezpieczeństwo? — Rozterki wewnętrzne.—Degradacya moralna w Galicyi.— Etyka stańczyków.

Obrońcy Galicyi niedługo się cieszyli, że ten kraik biedny podąża ku lepszej, jaśniejszej przyszłości. Droga do szczęścia przez oświatę — takie było hasło ostatnich kilku pokoleń, w tym kierunku szły wszelkie nasze wysiłki, ażeby nas w końcu przekonać, że hasło to jest jednostronne i ani zadowolenia, ani spokoju skołatanemu krajowi dać nie może. Dążenie do oświaty nauczyło ludność czytać, ale czytanie nie dało jej jeść. Włożono na nas obowiązki państwowe, wielkie i ciężkie pod względem finansowym, ale nie dano możności spełnić ich. System podatkowy u nas i charakter nakładania podatków zatraca coraz bardziej wszelkie cechy ekonomicznej działalności państwowej, a przybiera natomiast znamiona samowolnego odbierania pieniędzy według skali oznaczonej z góry — do tego stopnia nie odpowiada on zamożności i sprawiedliwości względem opodatkowanych. Sama powszechność zjawiska, które przybrało głównie w Europie nazwę — nędzy galicyjskiej, już powinna była wywołać jakąś działalność, mającą na celu wewnętrzne zbadanie jego i przedstawienie rządowi jakiegoś memoryału. Niczego jednak w tym kierunku nie podjęto, wszyscy milczą i ciągną pług codzienny z rozpaczliwą obojętnością. Głód i emigracya ludu stały się zjawiskiem codziennem, ale nikt o ratunku czynnym nie myśli. Zdawałoby się, że fiskalizm austryacki resztki energii ze wszystkich wycisnął.

Dotychczas z kraju uciekali albo najubożsi włościanie, albo tacy, którym długi zaciągnięte prywatnie nie dawały chwili spokoju. Dziś zjawisko to przybiera jeszcze groźniejsze rozmiary: ziemię wyprzedają gospodarze zamożni, którzy, dzięki dostatecznej ilości rąk roboczych, z roli żyli i żyćby mogli. Jest to więc nie emigracya pod przymusem, ale dobrowolna ucieczka z kraju, odrywanie się od łona społeczeństwa sił produkcyjnych. Przyczyny wychodźtwa u nas są znane i zbadane; dadzą się one sprowadzić do dwóch wyrazów: nędza i ucisk ekonomiczny. W takich warunkach emigracya staje się koniecznością; środkami państwowymi można ją przytłumić, ale będzie to tylko gwałt dodawany do gwałtu. Jeżeli niepodobna dopomódz tym, którzy zostają, to zdrowy rozum nakazywałby dopomagać przynajmniej najbiedniejszym, zmuszonym wyrzekać się kawałka ziemi ojczystej dla nadziei zdobycia chleba. Ale i w tym celu nie istnieje żadna organizacya. Ludzie zrywają się jak żórawie i lecą za przewodnikiem — gdyby przynajmniej posiadali instynkt żórawi! Jadą na oślep za wskazówką niemieckiego agenta, arendarza miejscowego najczęściej, któremu chodzi tylko o sprzedanie karty na „szyf" i zarobienie na tem; niekiedy za listem, wędrującym często od chaty do chaty, sfałszowanym, który im opisuje cuda i łatwość życia w kraju nieznanym. Niewątpliwie wielu dorobi się tam grosza i spokoju, którego tu brakło im bardzo, ale ile sił marnuje się bezpowrotnie! A przecież tu mogłaby istnieć i działać jakaś instytucya jawnie i otwarcie, któraby skupiła w sobie cały materyał informacyjny, udzielać mogła wskazówek najlepiej i najuczciwiej. Niema jej jednak. Czyż się można dziwić, że wobec braku wszelkiej informacyi, skupianej w jednym punkcie, rozbiegają się po kraju różni agenci i namawiacze? Zamiast jednego złego, mamy dwa. W chwili, kiedy to piszę, zawiązuje się we Lwowie Towarzystwo kolonizacyjno-handlowe, które ma zamiar przyjąć na siebie rolę pośrednika między krajem a dalekiemi koloniami. Obyż ono tę lukę wypełnić zdołało, sprowadziwszy do roboty ludzi spokojnych, wytrawnych i zdolnych do pracy, a nie tylko do hałasowania. Jakkolwiek, o ile widać z jego statutu, ma ono na celu przeważnie interesy ekonomiczne i materyalne, może z pożytkiem spełnić tę rolę.

Tak więc z jednej strony żre nas nędza, na którą nie znajdujemy w kraju środków zaradczych, z drugiej błędy nasze polityczne i gospodarka długoletnia „zdrowo myślących ludzi" pod sztandarami stańczyków przyniosły nieobliczone szkody, których doniosłość długo będziemy odczuwali. Oddanie polskiej polityki na usługi Czechów przyczyniło się do utraty przez naszą reprezentacyę dotychczasowego stanowiska w Radzie państwa i rządzie. Mało z niego było pożytku, ale był, a przy szczęśliwych okolicznościach, przy wyborze innych ludzi można byłoby niejedno ustępstwo utargować. Ten wpływ zamieniliśmy na nadzieję. Dłuższego potrzeba było czasu, ażeby społeczeństwo nasze rozejrzało się w położeniu; teraz zarówno w krakowskiej, jak i lwowskiej prasie, a nawet w Kole polskiem, rozpoczął się odwrót z zastrzeżeniami. Okazało się to wyraźnie w oświadczeniach prezesa Koła, Jaworskiego. Myśl K. Badeniego, oparcia się na słowiańskiej większości i wciągnięcie do tej większości Czechów, była dobrą niewątpliwie i doniosłą, cóż kiedy Czesi zrozumieli ją inaczej: wszystko dla nich, kosztem innych.

Rozbudzona hydra germańska poruszyła niebo i ziemię, ażeby uniemożebnić dalszą pracę państwową — i dokonała swego. Nic dziwnego. Łatwo zwyciężać tym, którzy wszelką siłę posiadają w swojem ręku. Na razie maszyna państwowa stanęła. Powrót do dawnych czasów i wpływu bardzo trudny, a posuwanie się naprzód śród spiętrzonych przeszkód — niemożliwe. Oto jest sytuacya, zrodzona z polsko-czeskiej przyjaźni. Hasło niemieckie: Słowianie idą! — rozbudziło z drzemki piwem nalanych Germanów wszędzie, gdzie tylko się znajdują. Zawrzała odwieczna walka rasowa. Polityka Prus — zniemczyć i zniszczyć Słowian, bardzo się tutaj zaczyna podobać. wykonywać jej nie można wszakże jawnie, ale krytym sztychem. Tak też się robi. Wszędzie na kresach etnograficznych, gdzie tylko Słowianie stykają się z Niemcami, rząd austryacki ignoruje życzenia pierwszych, a uwzględnia ostatnich. Słowianom stawiać przeszkody, Niemców popierać — oto zasada postępowania dzisiejszego rządu wiedeńskiego, na której on niewątpliwie kark skręci. Najlepszym dowodem jest chyba fakt odmowy przez ministra wyznań i oświaty, hr. Bylandta, upaństwowienia polskiego gimnazyum w Cieszynie, a równoczesne wspieranie szkół niemieckich dla ludności słowiańskiej. Gdzie chodzi o zwalczenie Słowian, Wiedeń i Berlin doskonale porozumiewają się z sobą, a rząd austryacki z ogromną uprzejmością pozwala u siebie gospodarować Prusakom. Jest to wpuszczanie lisa do kurnika, czego, zdaje się, w Wiedniu nie widzą. Szląsk austryacki należy do dyecezyi wrocławskiej, a więc ma najwyższą władzę duchowną w Prusiech. Byłoby w tem jeszcze mało szkody, gdyby dostojnik pruski miał tylko na pieczy sprawy kościelne, ale on się miesza do polityki, na co rząd austryacki patrzy zupełnie obojętnie. Oto od 1-go października kardynał Kopp, biskup wrocławski, zakłada *nie w* Prusiech, lecz na Szląsku austryackim, w Weindeau, seminaryum niemieckie hodowli germańskich księży dla — ludności polskiej. Rząd austryacki nic na to nie mówi, a nasi członkowie Koła, „czuwający" w Wiedniu — czuwają... u Ronachera. Są politycy, którzy utrzymują, że polskość nie poniesie z tego powodu żadnych strat na Szląsku, a niebezpieczeństwo grozi z innej strony. „Nie ulega żadnej wątpliwości — mówi jedno z pism, znające dobrze tajemnice polityki — że niemiecki ksiądz, niemieckie kazanie, dziś Polaka już nie zniemczy. Gdy przeciwnie, czechizacya Szląska wszystkimi środkami jest nietylko niebezpieczeństwem, ale faktem, a ksiądz czeski pokrewnością języka, zręcznością, czeską „zachłannością" (?) robi śród żywiołu polskiego spustoszenia." Od kogóż ostatecznie bronić się mamy: od przyjaciół, czy od nieprzyjaciół?

Gdy tak Niemcy prowadzą walkę z polskim żywiołem wszędzie, gdzie się spotkają, my, Polacy, znani z grzeczności, wspieramy Niemców w walce z nami — naszymi krwawymi groszami. We Lwowie prz

cie istnieje dotychczas szkoła ewangelicka, z wykładowym językiem niemieckim, utrzymywana kosztem gminy. Dla kogo? Dla Żydów i dzieci urzędników polskich.

Istny chaos, w którym poprostu zoryentować się niepodobna. Obok smutnej przegranej politycznej, wewnętrzne życie naszego społeczeństwa pełne krzywd codziennych, walki i roztercek, huczy ciągłym pomrukiem niezadowolenia. Pierwszorzędną rolę w ciągłem szarpaniu się wzajemnem różnych warstw społeczeństwa tutejszego odgrywa niestety, duchowieństwo. Ono, powołane do siania miłości, sieje burze. Zapominając lub pomijając cele i zadania swoje, zasłonięte powagą swojej szaty od zniewagi, puszcza się ono na pole agitacyj politycznych i społecznych i zakłóca spokój wszędzie, gdzie go tworzyć powinno.

Nigdy może w takim stopniu nie okazała się demoralizacya warstw rządzących u nas, jak teraz. Stańczycy ze swojem dążeniem do wielkiej polityki nietylko nie dopięli celu, ale zrazili ku sobie społeczeństwo bezwzględnością żądań i pragnień. W górze, na wysokiem stanowisku, nie utrzymali się; w dole, w administracyi i samorządzie, nie okazali żadnych zdolności, a chęcią przypodobania się rządowi albo odstrychnęli, albo narazili sobie najlepsze siły umysłowe kraju. Zbyt gwałtowne usiłowania do zagarnięcia wszelkiej władzy nad krajem w swoje ręce wywołało fatalne następstwa. Skupili się koło nich nie najzdolniejsi i najuczciwsi, lecz awanturnicy różnego rodzaju, którzy poprostu sprzedawali się za urzędy i stanowiska. Nic dziwnego, że nastąpił przełom moralny tego stronnictwa, pracującego dla urzeczywistnienia dziwnego marzenia, bańki mydlanej, nazywanej „silną władzą.“ Oni pracowali dla Wiednia, podpierali tam różne rządy i ministrów, a nadużywając władzy w kraju, sądzili, iż tworzą siłną. Działając w imię „ładu i porządku,“ sami, albo ich sojusznicy w sutannach i togach, gwałcili ciągle wszelki ład i porządek. Zamiast wywalczyć temu skołatanemu społeczeństwu jakieś ulgi ekonomiczne, ułatwić mu walkę o chleb powszedni, oni zmuszali wszystkich do milczenia w imię zasady: tylko z nami prawda, tylko z nami pomyślność kraju. Dzięki ich hasłom i godłom, nigdy jeszcze społeczeństwo nasze nie stoczyło się tak niziutko pod względem moralnym, jak teraz. Oni stworzyli osobną etykę, którą doskonale scharakteryzował jeden z tutejszych publicystów. Każdy człowiek — według ich logiki — jest z urodzenia łajdak i trzeba mu patrzyć na palce, jeżeli ma być porządek i ład. Zgnieść można każdego, ale należy mu pobłażać, jeśli słucha i stara się być pożytecznym. Łaska podnosi, niełaska — strąca ludzi. Zasługa, szlachetna ambicya, zapał dla dobra publicznego, zostały wykreślone ze słownika, jako mityczne potęgi, któremi się tylko głupców okłamuje. Prawo o tyle jest dobre, o ile nam służy. Jeżeli szkodzi partyi rządzącej, to się je gwałci i obchodzi. Siły nie można z rąk puszczać, lecz ją chwytać i skupiać. Kto chce stawić opór, tego zniesławić, usunąć, zdeptać. Skutki takiej etyki są cudowne. Człowiek uczciwy zadaje sobie pytanie: na co ma być uczciwym, kiedy go z góry mają za łajdaka? Rozum, ambicya stają się zbyteczne w promieniach łaski: niezawisłość opinii i samodzielność stają się buntem. Pozostaje zatem rozum panów krakowskich i ich satelitów, nieomylność polityki stańczykowskiej i posłuszeństwo.

Piękne zasady! Zbieramy teraz obfite owoce nędzy, rozbojów i upokorzeń.

Cho.



DLA OGÓŁU.

Najpiękniejsza i najrozleglejsza dziedzina wiedzy — przyroda — dotychczas jeszcze jest najmniej znaną śród ogółu oświeconego. Wszystkie jej bogate i liczne pola uprawia tylko skromna garstka uczonych i cząstki jej osobne oddaje na użytek rzeszy specyalistów tudzież małej gromadki miłośników tego świata nauki. To też spotykamy ludzi nietylko ze średniem, ale nawet uniwersyteckiem wykształceniem, którzy nie mają elementarnego pojęcia o biologii, już nie mówimy o specyalizacyi tej dziedziny, jak o fizyologii, bakteryologii itd. Zresztą czy można od ogółu oświeconego wymagać tak wiele, skoro spotykamy ludzi z wyższem wykształceniem, którzy nie mają pojęcia nawet o botanice i zoologii, nie mogą odróżnić klonu od olchy, jęczmienia od pszenicy, makolągwy od ziemby, skowronka od wróbla, którzy nie mają najmniejszego wyobrażenia o prostych zjawiskach fizycznych?!

Pochodzi to stąd, że w szkołach średnich nauki przyrodnicze nie są wykładane. Jedynie tylko jest w programie elementarny kurs fizyki, która jednak, pomimo olbrzymich postępów, dotychczas jeszcze była wykładana według przestarzałych podręczników. (Dopiero niedawno zwrócono na to uwagę). Pozostaje więc tylko wypełnianie tej olbrzymiej luki za pomocą samouctwa; ale i tutaj stoi na przeszkodzie brak odpowiedniej literatury. Wszystko, co dotąd posiadamy na półkach księgarskich, jest albo dorywczo wzięte z różnych gałęzi nauk przyrodniczych, albo zanadto specyalne i obszerne, albo za bardzo pobieżne. Wydziały: lekarski i fizyczno-matematyczny w uniwersytetach, tudzież wyższe szkoły specyalne dają dość obficie wiedzę przyrodniczą specyalistom; ale ta wiedza jest przykrojona do praktycznych potrzeb życia. To nauka, stosowana do przemysłu i handlu, więc w odpowiedni sposób wchłaniana i oceniana przez specyalistów. Wyjątek tylko stanowi tutaj medycyna, która chociaż także ma na względzie cele praktyczne, ale w okresie studyów nosi przeważnie charakter wiedzy czystej. Pomimo to wszakże lekarz uczony nigdy nie będzie uczonym, jeżeli po za praktyką nie poświęca całego życia samoistnym badaniom i zgłębianiom nie mającej granic wiedzy przyrodniczej.

Ogół oświecony nie może wypełnić swego życia naukami przyrodniczemi, ale musi znać zasadnicze jej podstawy i zjawiska. Ponieważ jej nie zna, więc jest analfabetą na wyższym szczeblu.

Oprócz ubóstwa literatury w tej mierze i braku wykładów w szkołach, ważną przyczyną zaniedbania wiedzy przyrodniczej, śród ogółu jest pewna kastowość nauki, powien auguryzm, który się daje zauważyć szczególnie śród przedstawicieli nauk medycznych. Nietylko oni nie starają się popularyzować wiedzy, ale usilnie ją zasłaniają przed oczami „tłumu“ i ogromnie się irytują, jeżeli „profani“ wglądają w ich dziedzinę. To też nieliczne książki i broszury popularne z zakresu hygieny i wogóle medycyny są pisane w taki sposób, że albo nie przynoszą żadnego pożytku, albo napędzają stracha czytelnikom. Są to pogawędki tak traktowane, jak się traktuje ciekawe i naiwne dzieci: zbywa się ich ciekawość czemkolwiek, żeby nie „nudziły“ i nie pytały o to, co przekracza zdolność ich pojmowania. Ludzie ciekawsi, wrażliwsi, chciwi wiedzy, zawiódłszy się na jałowej literaturze popularnej, sięgają do literatury przeznaczonej dla specyalistów. Czytają np. patologię i terapię. Rezultat fatalny! Dzieła te przedstawiają w skończonej typowej formie wszelkie choroby i zboczenia organiczne. Czytelnik więc wynosi takie wrażenie, jak z oglądania w „panopticum“ figur woskowych, które wyobrażają ludzi, zjedzonych przez choroby. Profan, jeżeli jest z natury nerwowym i skłonnym do neurastenii, po przeczytaniu patologii, przeznaczonej dla lekarzy, może się stać kandydatem do domu obłąkanych: znajdzie w sobie wszystkie choroby w najgroźniejszej fazie. Znaliśmy ludzi, którzy po takiem zbogaceniu wiedzy wyczuwali w sobie najdokładniej wszystkie objawy gruźlicy, choroby cukrowej, tabesu, choroby serca; którzy na widok niedyspozycyi najbliższych, ukochanych osób brali ze wzruszeniem patologię i z zatamowanym oddechem, drżącą ręką przerzucając stronice książki, znajdowali wyjaśnienie objawów niedyspozycyi: zapowiedź strasznych chorób. Jeżeli zaś istotnie ktoś bliski zapadał na chorobę niebezpieczną, to wczytując się w przebieg tej samej choroby, opisanej w najgorszych postaciach — sprawiali sobie straszliwe katusze, doprowadzające do bezgranicznej rozpaczy. To jest wyborne tło, na którem się rozwija silna neurastenia.

O takich ludziach wspomina również dr. A. Sokołowski w swojej pracy o bólu gardła („Odczyty kliniczne,“ wydawane przez *Gazetę lekarską* nr. 62, 1894). Pewna chora np. opisywała przed autorem bardzo dokładnie objawy początków suchot gardlanych. Inny pacyent określał w klasyczny sposób dolegliwości, właściwe cierpieniu zatoki Highmora. „Chory, przekonany (przez lekarza) w zupełności, szybko się pozbywa swego hipochondrycznego usposobienia, dotyczącego bólu gardła. Nie zawsze jednak osiągamy ten szczęśliwy i doraźny efekt; chorego bynajmniej naszem tłomaczeniem nie przekonywamy, odchodzi od nas z niedowierzaniem, z niechęcią. On dobrze wie i wprost nam mówi, że chcemy go tylko pocieszyć, że jest już zgubiony. Wędruje do innych lekarzy, przebywa najróżnorodniejsze miejscowe i ogólne leczenie, wpada w ręce szarlatanów, kończąc wreszcie zupełnym rozstrojem umysłowym, ciężką hipochondryą lub melancholią, a nawet nieraz i samobójstwem.“

U innego autora czytamy: „Nieraz nerwowi, lekkiemi tylko przypadłościami obarczeni, przyjeżdżają z odległych stron do specyalistów, gnani i dręczeni jedynie tą myślą, że mają początki jakiegoś ciężkiego cierpienia. W rzeczywistości nie jest to wcale ów zbiór istotnych zaburzeń nerwowych, którym podlegają, lecz raczej znaczenie, które do tych zjawisk sami przywiązują, cały splot trosk, obaw, niepokojów i przewidywań, które się w nich gnębiąco rozwijają“. (Dr. T. Kornig: „Jak się obchodzić z nerwowymi?“).

I takich ludzi w naszem społeczeństwie nie brak. Z jednej więc strony wrażliwi i nerwowi, szukając uspokojenia, zagłębiają się w specyalnej literaturze lekarskiej i znajdują tam grunt przyjazny dla rozwoju hipochondryi i neurastenii, z drugiej — mamy śród inteligencyi liczne tłumy takich ludzi, którzy nie mając pojęcia elementarnego o budowie swego ciała i o innych gałęziach wiedzy lekarsko-przyrodniczej, zaniedbują własne zdrowie fizyczne i duchowe i utrudniają badanie swego stanu.

Lekarze atoli mają na względzie tylko pierwszą z grup wyszczególnionych powyżej, więc wpadając w krańcowość, usilują przed ogółem zamknąć rozległą dziedzinę wiedzy lekarskiej tak szczelnie, żeby ani jeden promień stamtąd nie wyszedł.

Przeciwko temu wystąpił niedawno bardzo energicznie i rozumnie dr. Maksymilian Flaum („O popularyzowaniu medycyny,“ *Krytyka lekarska*, nr. 5): „Lekarz we własnym swoim interesie dokładać powinien starań, aby taki stan rzeczy ku lepszemu się zmienił. Toż wiemy wszyscy do-

brze, o ile łatwiej porozumiewać się nam z chorym, choć ogólnie obeznanym z budową i sprawami fizyologicznemi swego ciała." Słusznie autor zaznacza, że nauka fizyologii i anatomii człowieka stanowi dział wielkiej nauki biologii, która się nadaje do popularyzowania jak najszerszego. Prawda, że metodyka wykładu fizyologii jest bardzo trudna, ale to nie powinno zniechęcać. „Dostatecznie głębokie zrozumienie objawów życia wymaga koniecznie, aby granice fizyologii nie były zbyt ciasne w wykładzie. Należy mieć pewne wyobrażenie o patologii ogólnej, czyli o fizyologii patologicznej."

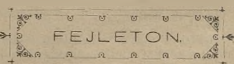
Choremu przedewszystkiem idzie o to, jaką chorobą jest dotknięty. Każdy, bez względu na poziom umysłowy, zapytuje lekarza, jaki organ cierpi. Otóż słusznie twierdzi dr Flaum, że takich pytań nie można lekceważeniem zbywać, „nawet w tych wypadkach, kiedy od dyagnozy nie zależy bezpośrednio przyszłość chorego." Zwłaszcza zaś otoczenie jego powinno być najdokładniej poinformowane o rzeczywistym stanie zdrowia. Czy jednak dyagnozy lekarskie istotnie dobrze są rozumiane przez to otoczenie? — „Na każdym kroku występują nieporozumienia. Jakież to mnóstwo ludzi jest najgłębiej przekonanych o tem, że wszystko, co lekarz nazywa cierpieniem nerwowem w znaczeniu nerwic i zaburzeń czynnościowych (bez zmian anatomicznych) jest poprostu udawaniem lub urojeniem ze strony chorego! Komuż z lekarzy nie zdarzyło się spotkać z najcięższemi zakłóceniami histerycznemi i neurastenicznemi, których otoczenie chorego nie uważa za stosowne leczyć, bo kładzie je na karb kaprysu lub symulacyi ze strony chorego."

To wszystko przemawia za tem, że fizyologia (w najszerszem rozumieniu) i hygiena powinny być uprzystępniane bez wszelkich zastrzeżeń, w taki wszakże sposób, „ażeby pogląd na przyrodę, jej prawa i wymagania, wyrażany był jasno, ażeby harmonia praw natury, zawiłe stosunki zjawisk, przedstawiane były we właściwem świetle, ażeby trudność zgłębiania zjawisk nie była ukrywana i teorye od faktów ściśle były rozgraniczone." Prawda, że takie popularyzowanie biologii jest bardzo trudne, wymaga bowiem obok gruntownej wiedzy specyalisty, jeszcze talentu popularyzatorskiego. Uprzystępnianie patologii i wiadomości o dyagnostyce przedstawia jeszcze więcej trudności. A więc ktoby się czuł na siłach wziąć do tego zadania, powinien je z całą gorliwością i sumiennością wykonać.

Jakże się to zadanie spełnia u nas dotychczas? Zobaczmy, co o tem mówi sam lekarz: Owych niby popularnych książek o dyagnostyce i terapii nieprzygotowany czytelnik zrozumieć nie może. Wydawcy chcą, ażeby książka była krótka — przez oszczędność. Chcą tego również i czytelnicy, bo idzie im nie o naukę prawdziwą, lecz o praktyczne zastosowanie jej, i to możliwie szybko! Podręczniki takie są tedy traktowane urywkowo, niedołężnie, upstrzone terminami naukowymi, imponującymi czytelnikowi, lecz bynajmniej nie ułatwiającymi mu zrozumienia rzeczy." Są w naszej literaturze książki popularno-naukowe z zakresu medycyny, które wstyd przynoszą autorom, które sieją półwiedzę i nieuctwo, zarozumiałość ignorancyi i pewność siebie głupoty. Krzywda, jaką te książki wyrządzają, zsumowana z przekonaniem wielu lekarzy, że wogóle medycyny popularyzować nie należy, sprawia nietylko to, że ogólny poziom wiedzy bardzo jest u nas niski, ale nadto prowadzi do wielu szkód materyalnych i sanitarnych, których, niestety, w cyfry ująć niepodobna. Jeżeli sądzą niektórzy, że przez popularyzowanie medycyny lekarz pozbawi się tych czynników leczniczych, które posiada w olbrzymim zapasie swych zabiegów psychoterapeutycznych, to obawa ta jest płonną. Życzenie, aby uprzystępniać z wiedzy lekarskiej to tylko, co może choremu wyjść na pożytek, już samo przez się obawy te usuwa."

Takie wystąpienie dr. Flauma przeciwko auguryzmowi lekarskiemu zdarza się u nas po raz pierwszy. Niechże ten głos będzie taranem do przebicia mocnego muru, którym oddzielono starannie wiedzę lekarską od ogółu. Przedewszystkiem tę doniosłą sprawę społeczną powinno wziąć do serca Towarzystwo hygieniczne. Niech ono zachęci wybitnych i zdolnych specyalistów do popularyzowania tej wiedzy i niech się postara o fundusze odpowiednie na wydawnictwo. Zdaje się, że w tym razie Kasa im. Mianowskiego mogłaby przyjść z pomocą. Nadto, należałoby w szerszym ogóle rozbudzić zamiłowanie do tej dziedziny wiedzy. Chcąc to uczynić skutecznie, należy zacząć od zabiegów o wprowadzenie do programu szkół wykładów hygieny i wogóle nauk przyrodniczych.

Zen. Piet.



LIBERUM VETO.

Przywidzenie Podora.

Macieja Podora lubiłem i szanowałem szczerze, bo był to człowiek zacny, rozumny i uczynny. Jedno tylko mnie w nim zawsze raziło: niezmierna chciwość. Pomimo 60 lat wieku, pomimo że wszystkie dzieci już wyposażył, a sam posiadał jeszcze włókę „odpowiedzialnej" ziemi, zamordowywał pracą służbę, żonę, konia, a przedewszystkiem siebie. Często powtarzał, że słońce jest to wielki pan, a człowiek mizerny parobek, który powinien raniej wstawać, niż ono wyjdzie na niebo, i kończyć robotę wtedy dopiero, kiedy ono spać się położy. Utrzymywał nawet, że słońce zasłania się z gniewu chmurami na leniwych ludzi i gdyby nie widziało próżniaków, nie przestawałoby nigdy świecić pogodą. Razu pewnego, gdy w gęstym zmierzchu jeszcze orał zmęczony, z włosami przylepionymi potem na wychudzonej twarzy, zagadnąłem go:

— I czy to wam potrzeba tak męczyć się?..

— Widać potrzeba, panie. Z dobrej woli człowiek nawet nie podrapie się, aż dopiero wtedy, kiedy go zaswędzi.

— Albożto nie macie dostatku?

— Toć nie zjadam wszystkiego chleba.

— I dzieciom waszym go nie brak.

Wstrzymał konia u końca skiby, pochylił pług, zsunął czapkę na tył głowy i rzekł:

— Et, przecie nie mówię, że orzę koniem, ażeby bieda mną nie orała.

— Więc czemuż nie odpoczywacie?

— Będzie jeszcze na to czas! Wyleżę się w grobie do sądu ostatecznego.

Spostrzegłem, że chce mnie zbyć omówieniami, po za któremi kryje myśl utajoną — jak sądziłem — nałogową chciwość. Dalszem przekonywaniem tylko bym mu dokuczył, zatem przeciąłem rozmowę:

— Ha, jeśli wam tak lepiej...

— Ani ja taki głupi, ani taki pażerny, jak pan sądzi — odparł, siadając na zagonie. Wiem dobrze, co panu o mnie ludzie gadają. Podor jest skąpy, żre wszystko oczami, czego nie może gębą, chciałby mieć kapotę uszytą z bankocetli i zapinaną na guziki z dukatów. Słyszałem to nieraz i pomyślałem sobie: co tam tłomaczyć wronie, żeby sobie kupiła garnek i gotowała jadło.

— Ale ja chyba nie jestem wroną i ze mną można rozmówić się po ludzku.

— Nie zapieram, że pan człowiek uczony, tylko wydaje mi się, że pan także by mnie nie zrozumiał.

— O! — zawołałem — to musicie chować w sobie jakąś wielką mądrość.

— Zwyczajną, chłopską, więc dla panów niegodną niucha tabaki. Bez urazy powiem: mój rozum nie dla pańskiej głowy.

— Bajecie, Macieju.

— A, ot nie baję. Niedawno przecie nam pan dowodził: chłop chciwy jest na ziemię, jak wydra na rybę; dlatego często wpędza się w biedę, bo nie może posiadanego gruntu ani spłacić, ani dobrze uprawić; pożycza pieniądze na wyższy procent, niż mu rola dać może, zaciąga długi, które go niszczą, rozszerza gospodarstwo a zwęża brzuch. Jest ciągle goły i głodny.

— Czyż nie miałem słuszności?

— Nie.

— Zatem według was ziemia, kupiona za lichwiarski dług, opłaca się, zatem chłopi żyją dostatnio, zatem...

— Nie, broń Boże.

— Więc czegóż chcecie?

— Ja chcę, ażeby chłop kupował ziemię, nie pytając, co ona mu da, choćby mu dała tylko nędzę.

— Prawda, nie rozumiem was.

— Widzi pan! Jednakże cała ta chłopska spekulacya jest bardzo prosta. Czy pan czytał w *Zorzy* o Marsie?

— Cóż tam było?

— A no było opisane, że na tej gwieździe żyją ludzie, że nawet widać kanały, które oni pokopali, że tam ma być daleko lepiej i porządniej, niż u nas na ziemi.

— Naprzód to nie jest pewnem...

— Ale w mocy Boga wszystko jest możliwem. Zresztą panowie widocznie w to wierzą, kiedy tak się zajmują balonami.

— Przypuszczacie, że w nich będzie można dostać się na Marsa?

— Na Marsa, czy nie, w każdym razie na jakąś planetę. Bo jeżeliby balony nie miały służyć do tego, to nie zgaduję, po co by mądrzy ludzie tyle na nie tracili pracy i pieniędzy, a często łamali karki. Ażeby latać po powietrzu? Tfu! to dobre dla dzieci.

— Mylicie się, Macieju, tu nie chodzi o zabawkę, ale o pożytek. Z balonów, wzniesionych wysoko, można się dowiedzieć i dojrzeć bardzo wielu rzeczy, których z ziemi zbadać niepodobna.

— Na to Bóg dał wysokie góry. Niech pan mnie nie przekonywa, bo ja już dawno na świat patrzę i uważnie jedno z drugiem wiążę. Od lat dwudziestu widzę, że panowie pospiesznie wyprzedają ziemię, jak przed odjazdem, każdemu, kto chce kupić, że ciągle mówią i piszą o balonach, że gotują się do podróży na Marsa i inne planety. Dawniej folwark po kilkaset lat zostawał w tej samej rodzinie: dziś prędzej zmienia właścicieli, niż kożuch. Skąd to pochodzi? Stąd, że panowie zamierzają wkrótce opuścić ziemię. Cóż my chłopi powinniśmy robić? Kupować ją, jak najwięcej — wszystką.

Nareszcie zrozumiałem przywidzenie i przyczynę wysiłków strwożonego Podora, a zarazem dostrzegłem łatwy sposób obalenia jego wywodów.

— Jeżeli panowie — rzekłem — porzucą ziemię, to po co macie ją kupować, kiedy możecie wziąć darmo?

— O, nie — odparł — oni z pewnością kiedyś zatęsknią i wrócą, bo gdyby Bóg miał lepszy świat, niż ziemia, toby na nim ludzi osadził. A wtedy odbiorą każdemu swój grunt, jeśli go od nich nie nabył. I znowu ma być tak, że my przez kilkadziesiąt lat uprawimy rolę, a oni potem ją wezmą i skorzystają z naszej pracy, jak

gdybyśmy byli ich bezpłatnymi parobkami? Niedoczekanie! Obwarujemy się dobrze. Czy teraz pan rozumie, czemu chłop odmawia sobie wszystkiego, ażeby kupować ziemię i czemu ja nie odpoczywam?

Nie odpowiedziałem nic, bo czułem, że najwymowniejsza argumentacya byłaby bezsilną wobec tak upartej i chorobliwej myśli. Pożegnałem tylko Podora, który uśmiechał się z jakimś dziwnym tryumfem i odszedłem.

Nie ulegało wątpliwości, że on skutkiem wycieńczenia, wieku, a nadewszystko wytężonych przez całe życie w jednym kierunku pragnień, wpadł w manię, do której dorobił sobie z paru sztucznie związanych spostrzeżeń dziwaczne usprawiedliwienie. Również jest pewnem, że powszechna chciwość ludu na ziemię nie płynie z tego fantastycznego źródła, a w większości wypadków jest popędem zupełnie bezwiednym. Chłop od wieków tak jest zrośnięty z ziemią, jak gdyby rodził się z jej łona, a nie z ludzkiej matki: nie oświecono go, nie nauczono innych sposobów życia, więc on w trwodze i niebezpieczeństwach walki o byt czepia się konwulsyjnie tej karmicielki, którą dobrze zna i która mu nigdy nie odmówiła swej pomocy. Niejeden, gdy obejrzy swój potężny instynkt w świetle rachunku, przyznaje, że kupiwszy kawał gruntu za pożyczone na wysoki procent pieniądze, nie może ich z dochodu ani spłacić, ani nawet pokryć odsetek, że więc podejmuje przedsięwzięcie rujnujące; ale uspakaja się albo nieokreśloną nadzieją „szczęścia,“ albo też przekonaniem, że sprowadzając swoje potrzeby do najmniejszej miary, wyrówna niedobory. To też nieraz widzimy pozornie zamożnych gospodarzów, posiadaczów kilkunastu mórg, którzy karmią się wyłącznie kartoflami, odmawiają sobie kropli mleka i okrucha słoniny, chodzą podczas tęgich mrozów w dziurawych butach i lekkich kapotach, a głodni, niewyspani i zziębnięci dokonywają robót siłaczów. Wytrzymałość organizmu chłopskiego u nas zdaje się przeczyć wszystkim zasadom fizyologii i hygieny. Każde zwierzę domowe, któremu natura da na zimę ciepłe futro lub opierzenie, a człowiek dostarczy paszy, żyje w warunkach stokroć większej wygody, niż nasz przeciętny włościanin, zarówno ten, który ma ziemi za mało, jak ten, który ma jej za dużo. Pierwszy stara się być krzakiem łubinu, który czerpie swój pokarm z chudej ziemi i powietrza, drugi jest ofiarą poświęcenia się syna dla matki.

Gdyby zagadnienia życia rozwiązywały się tylko rachunkiem ekonomicznym, należałoby powiedzieć, że fanatyczna, ślepa, nierozważna namiętność naszego chłopa do ziemi jest błędem i szkodą. Ale rachunek materyalny nie jest jedyną miarą wartości osobniczej i społecznej czynów ludzkich. Obywatele poznańscy, sprzedający swoje dobra komisyi kolonizacyjnej, robią korzystne interesy, czyli ze stanowiska ekonomicznego postępują rozumnie. A przecież są to moralni nieponie, którzy wyrządzają społeczeństwu ogromne krzywdy. Natomiast chłop, który w niedostatku kurczowo a rozpaczliwie trzyma nabytą ziemię, wyświadcza mu wielkie dobrodziejstwo, chociaż o niem wcale nie wie i nie pod wpływem jego pobudki działa. Ale czyż pszczoły nie są pracownicami cennemi dlatego, że zbierają miód bez myśli o nas? Czyż ptaki, które zjadają szkodliwe owady, nie są pożyteczne dlatego, że czynią to bez zamiaru obrony naszych ogrodów? Nieporównanie mniejsza ilość szczęścia spływa na człowieka ze świadomych dążeń, niż z bezwiednych popędów. Nie należy przeto obniżać zasługi z tego względu, że ona nie była zamierzoną, bo nawet największy nasz dobroczyńca, słońce, ogrzewa nas bez wiedzy i chęci dogodzenia naszym potrzebom. Podobnie chłop — ten ekonomiczny dzieciak, a społecznie niestrudzony konserwator narodu. Bez niego bylibyśmy zapewnie oderwaną od miejsca garścią piasku którą wiatr rozrzucałby po całym świecie i może kiedyś urzeczywistniłaby się fantazya Podora o tyle, że marzylibyśmy, ażeby nas balony uniosły na inną planetę.

Poseł Prawdy.



HISTORYA.

Atlas do dziejów Polski, zawierający 13 mapek kolorowanych. Podług najnowszych źródeł opracował E. Niewiadomski. Warszawa, 1899.

Rekomendacya karty tytułowej, zapowiadającej, że p. Niewiadomski atlas do dziejów Polski opracował „podług najlepszych źródeł,“ nie jest rzetelną. Wyczytuję w przedmowie, że za podstawę swej pracy p. N. wziął atlas Lelewelowski, którego „błędy“ i „wątpliwości“ prostował według opracowań kartograficznych: Korzona, Papłońskiego, Topolnickiego, Babireckiego, Droysena i Dobrjakowa. Wymienione przez autora prace kartograficzne nie są *źródłami*, jak nie mogą być poczytane za źródło i *Dzieje Polski* Szujskiego, na których podstawie wykreślił p. N. terytoryum Rusi Czerwonej z czasów Kazimierza W. i granicę rzeczypospolitej po traktacie buczackim. Taka tylko praca kartograficzna nazwana być może źródłową, która oparta jest na dokumentach i aktach urzędowych, jak traktaty i inne umowy międzynarodowe. W istocie rzeczy praca p. N. jest przerysem atlasu Lelewelowskiego z pewnemi modyfikacyami, nie zawsze pomyślanemi szczęśliwie.

Mapka I: „Ziemie zajęte przez plemiona słowiańskie w epoce monarchii Karola W.“ różni się od odnośnej Lelewelowskiej (z r. 850) głównie wyraźnem oznaczeniem siedlisk Słowian ze strony południowej, granicy, która w rzeczywistości nie istniała. Mapkę Lelewelowską uważam za ściślejszą, albowiem oznacza właściwe siedlisko Węgrów w połowie stulecia IX, granicę zaś Słowian południowych gubi w obszarach cesarstwa bizantyjskiego. Na mapce tej p. N. słusznie wypisuje nazwy nie krajów, lecz plemion: szkoda tylko, że nie jest konsekwentnym. Jeżeli wypisuje: „Obotryci,“ „Szlązanie“ (powinno być: Ślązanie) itp., czemuż, odstępując od zasady, zamiast nazw plemiennych wymienia kraje: „Kujawy,“ „Łużyce,“ „Czerwona Chrobacya“?

Mapka II p. t.: „Polska za Mieczysława I-go“ wschodnią granicę państwa rozciąga tylko do lewego brzegu Wisły, gdy Lelewelowska ogarnia i prawy brzeg tej rzeki, tj. całe Mazowsze. Do kogo należało Mazowsze na prawym brzegu Wisły?— z białej plamy pana N. odgadnąć trudno. Sądzę, że w tym wypadku bez obrazy historyi, a z korzyścią dla pedagogii, zamiast wprowadzić do mapki niewiadomą, można było w skład Polski Mieszkowej wcielić całe Mazowsze. Plama, wyrażająca państwo Mieszka I, ma napis: „Lechici,“ a nie „Polska.“ Skąd się wzięli „Lechici“ na tym obszarze, na którym mapka I wykazuje Polan i Mazowszan? Wypadałoby wnioskować, że jakieś najezdnicze plemię „Lechitów,“ zawojowawszy ludy osiadłe nad Wartą i Wisłą, utworzyło państwo pod berłem Mieszka I. Wprowadzenie do atlasu tego rodzaju zagadnień nie jest pożądanem ze stanowiska wymagań pedagogicznych. Powtórzył też autor na tej mapce błąd Lelewela: rzekę Narew nazwał „Narwą.“ Dlaczego na wschód od Mazowsza umieścił „Jaćwież,“ gdy na mapce I użył terminu „Jadźwingi“?

Mapka III p. t. „Polska za Bolesława Chrobrego“ znowu na miejscu Polan bałamutnie osadza zagadkowych „Lechitów“ i znowu zamiast nazwy plemiennej „Mazowszanie“ używa terminu „Mazowsze.“

Na mapce IV p. t. „Polska przez Bolesława Krzywoustego między synów podzielona r. 1139“ (według nowszych badań, rokiem śmierci Krzywoustego jest 1138) nie znajduję już nazw plemiennych, lecz kraje: „Mazowsze,“ „Kujawy,“ „Szląsk.“ Dlaczego autor nie znalazł nazwy dla dzielnicy krakowskiej i sandomierskiej, która w stosunkach polskich odgrywała rolę za Kazimierza Sprawiedliwego i Leszka Białego? Niepotrzebnie jest podana nomenklatura „Psie pole,“ jako osada, skoro było to tylko *pole*; błędnie też, idąc za Lelewelem, z rzeczki Mozgawy zrobił autor wieś.

Mapki V i VI zasadniczo nie różnią się od Lelewelowskich; VII-a p. t. „Polska za Kazimierza W.“ zgodniej z historyą wykreśla granicę południowo-wschodnią według wykładu Szujskiego.

Mapka VIII ma niezrozumiały tytuł: „Polska za Kazimierza Jagiellończyka r. 1496“, niezrozumiały dlatego, że w r. 1496 panował Jan Olbracht. Przedstawia Polskę i Litwę; zasadniczo nie różni się od VIII-ej mapy Lelewelowskiej, noszącej tytuł: „Polska za Jana Olbrachta w r. 1500.“ Mniemam, że rok 1500 jest właściwszy ze względu na zmiany, jakie w nim po bitwie nad Wiedrożą zaszły w granicy wschodniej przez utratę Brańska i Putywla. Na terenie koronnym nie znajduję takich ważnych nomenklatur, jak Nieszawa, pod którą rozgrywały się ruchy szlacheckie w r. 1454; Oświecimia, który w r. 1457 nabył Kazimierz Jagiellończyk. Jeżeli mapka ma przedstawiać Polskę z czasów Kazimierza, w takim razie niewłaściwie mieści na terenie koronnym Zator, nabyty dopiero przez Olbrachta w r. 1494. Błędnie jest wypisany „Sochaczów“ zam. Sochaczew, „Jedlno“ zam. Jedlnia; Cerkiewica zanadto jest odsuniętą od Chojnic. Na terenie litewskim nie oznaczył autor napisami: Żmudzi, Litwy, Białej Rusi, Ukrainy, Podola itp., zaznaczył jedynie Wołyń. Ponieważ powyższych terminów etnograficznych niema i na mapach poprzednich, przeto atlas pana N., jako pod tym względem *ślepy*, nie daje podstawy do oryentowania się w stosunkach litewsko-polskich zarówno za Kazimierza Jagiellończyka, jak i za Zygmunta Augusta.

Mapka IX przedstawia Polskę za Stefana Batorego. Mniemam, że trafniej postąpił Lelewel, dając mapę z czasów Zygmunta Augusta, za którego na sejmie lubelskim 1569 r. nastąpił ostateczny podział polityczny rzeczypospolitej. Nie uwzględniwszy stosunków z czasów Zygmunta Augusta, wypadałoby stwierdzić je na mapie z okresu Batorego: przedstawić podział na prowincye i wskazać kraje lenne. Tymczasem autor nie odgraniczył prowincyi wielkopolskiej od małopolskiej; na terenie litewskim nie umieścił znowu wszystkich nazw etnograficznych. „Polesie“ niewłaściwie mieści się wyłącznie na terenie prowincyi litewskiej, skoro należał do niego i Wołyń północny. Do ziem lennych mylnie zaliczył autor Inflanty, stanowiące część składową rzeczypospolitej. Zresztą, granicę wschodnią wykreślił zgodniej z historyą, niż Lelewel, który anektował obszary nad Desną i Sejmem, przyznane Polsce dopiero za Zygmunta III.

Mapka X p. t. „Polska po rozejmie andruszowskim i traktacie buczackim“ odpowiada XI-ej Lelewelowskiej, od której różni się tylko mniejszą liczbą nomenklatur. Na mapce tej wypadało oznaczyć graficznie województwa, czego Lelewel dokonał na karcie, zatytułowanej: „Polska za Sta-

nislawa Augusta w r. 1770." Nieuwzględnienie takiego podziału, choćby tylko za pomocą oznaczenia stolic województw, ziem i powiatów sejmikujących, poczytuję za wielką wadę pracy p. Niewiadomskiego. Należało też z prowincyi litewskiej wyodrębnić graficznie województwo inflanckie, które stanowiło wspólną własność rzeczypospolitej.

Mapki XI i XII (Rozbiory Polski. Księstwo Warszawskie) są dobre, za mało jednak mają nomenklatur, któremi wogóle szafuje autor za skąpo.

Mapka ostatnia: „Królestwo polskie," powinna przedstawiać przynajmniej granice W. Ks. Poznańskiego.

Reasumując powyższe spostrzeżenia, dochodzę do wniosków:

1) Atlas pana N. nie jest pracą źródłową i nie odznacza się nowością pomysłów kartograficznych.

2) Wielekroć wykracza przeciwko ścisłości naukowej.

3) Nie odpowiada surowym wymaganiom pedagogicznym, jednakże z powodu braku innych prac tego rodzaju (atlas Lelewelowski jest wyczerpany) może być użyty z korzyścią przez uczących się historyi, tem bardziej, że odznacza się wielu zaletami technicznemi.

Wł. Smoleński.

LITERATURA I SZTUKA.

UTWORY POWIEŚCIOWE TETMAJERA

* * *

Kazimierz Przerwa-Tetmajer: *Anioł śmierci*, romans. Tom I, str. 296; t. II, str. 235.— *Melancholia*, str. 246. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i Sp., 1899.

W ciągu roku niespełna pierwszy większych rozmiarów utwór powieściowy Kazimierza Przerwy-Tetmajera doczekał się powtórnego wydania, oraz pewnej liczby sprawozdań, które trudno nazwać krytycznemi, wziąwszy pod uwagę, że autorowie ich, z wyjątkiem, naturalnie, Piotra Chmielowskiego i jeszcze jednego czy dwóch innych, zajmowali się więcej osobą głośnego dzisiaj poety, który miał nieszczęście „popełnić" „Anioła śmierci," niż zaletami, wadami i wogóle treścią jego dzieła. Jeżeli drugie wydanie powieści w ciągu krótkiego stosunkowo przeciągu czasu jest u nas dotąd zjawiskiem dosyć rzadkiem, przemawiającem, bądź co bądź, na korzyść wyróżnionego w ten sposób utworu, to natomiast brak przedmiotowości w ocenie dzieł literackich należy w stosunkach naszych do takich zwyczajnych, codziennych niemal objawów, że moglibyśmy śmiało przejść nad nim do porządku dziennego, gdyby nie rola, którą w danym wypadku odegrał i odgrywa ciągle najulubieńszy wytwór bruku warszawskiego — plotka.

Plotka, zwyczajna, brukowa plotka, poprzedziła ukazanie się „Anioła śmierci" i towarzyszy mu dotąd, wywierając wpływ ujemny nawet na stosunek do tego dzieła recenzentów, którzy nietylko nie mają siły ani chęci popłynąć przeciw jej płytkiemu prądowi, lecz przyczyniają się wprost do nadania jego mętnym falom tem większego i tem szkodliwszego rozpędu. Wobec tego nie będzie tu może zbytecznem wyjaśnienie, że utwór beletrystyczny — jeżeli tylko, rzecz prosta, mamy z nim naprawdę do czynienia, nie zaś z wypracowaniem grafomana lub nędznym paszkwilem reportera — jest dla nas przedewszystkiem dziełem sztuki, zadawalającem mniej lub więcej, silniej lub słabiej, nasze wewnętrzne poczucie prawdy i piękna. Z tego tylko stanowiska rozumiemy rozbiór krytyczny utworów literackich, cokolwiek pod ich kolorową okładką podoba się widzieć wielkomiejskim plotkarzom i plotkarkom, mniejsza o to, czy zajmują się oni sprzedażą jarzyn za straganem, czy szlifowaniem bruków lub posadzek, czy wreszcie pełnią jakąkolwiek inną, równie zaszczytną, funkcyę społeczną.

Otóż, jako dzieło sztuki, „Anioł śmierci" wydaje nam się przedewszystkiem utworem niezmiernie szczerym, pisanym chwilami nie atramentem, ale gorącą krwią serca; jest to przytem ciekawe studyum psychologiczne, pozwalające czytelnikowi sięgnąć wzrokiem aż do dna duszy głównego bohatera romansu, genialnego rzeźbiarza i malarza, Romana Rdzawicza, jest to wogóle dzieło nietuzinkowe, tętniące życiem w każdym szczególe, obfitujące w pierwszorzędne zalety, ale nie wolne zarazem od wad i błędów, których nie usprawiedliwia bynajmniej fakt przyznania się autora do pewnej ich części, w pretensyonalnej trochę, a pozującej na niedbałą naturalność przedmowie do pierwszego wydania, słusznie zupełnie opuszczonej w nowej odbitce.

Z treścią romansu nie podejmujemy się zapoznać czytelników. „Anioł śmierci" nie należy, na szczęście, do utworów, dających się „opowiedzieć" w kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu wierszach. Jeżeli zaznaczymy, że przedmiotem jego jest nieszczęśliwa miłość młodego artysty o naturze nienormalnej, chorobliwej, pełnej sprzeczności — względem zamożnej panny, jednostronnie, bo wyłącznie prawie z punktu widzenia byłego jej narzeczonego, oświetlonej przez autora i przez to nie zawsze zrozumiałej dla czytelnika, jeżeli dodamy do tego, że miłość ta łamie, druzgocze, burzy całą istotę duchową bohatera utworu, to będzie to bardzo niewiele i zarazem wszystko, co w danej kwestyi powiedzieć tutaj możemy.

Niepotrzebnie zupełnie autor uniewinnia się, że opisywał ten „romans" (pana Romana Rdzawicza, utalentowanego rzeźbiarza, ku pannie Maryi Tyżwieckiej, pięknej królewiance), „jakby na świecie nie działy się rzeczy, od których gwiazdy bledną, i jakby tu na ziemi nie huczało życie aż w słońce." Cierpienie ludzkie w każdej formie, rzeczywiste czy urojone, co w gruncie rzeczy na jedno wychodzi, może być właśnie jedną z tych rzeczy, przyprawiających gdwiazdy o utratę rumieńców, a miłość, chociaż opisywana już tyle tysięcy razy w beletrystyce, ma w niej dotąd zupełne prawo obywatelstwa, jako jeden z zasadniczych objawów tego właśnie życia, huczącego aż w słońce. Nie chodzi koniecznie o nowe tematy, o bohaterów nadzwyczajnych, idealnych. Idzie jednak i zawsze iść będzie o nowe oświetlenie odwiecznych zjawisk i uczuć, o odmalowanie żywego, prawdziwego człowieka, a nie lalek i manekinów. Obu tym warunkom utwór Tetmajera odpowiada niewątpliwie i dlatego nie można mu zaprzeczyć prawa bytu we współczesnej literaturze naszej.

Dziwnem bardzo wydaje nam się wymaganie pewnej kategoryi czytelników, przedostające się niekiedy i do krytyki, ażeby bohater powieści przedstawiał zawsze pewnego rodzaju ideał etyczny, stał na pewnem wzniesieniu i miał koniecznie czoło opromienione aureolą poświęcenia lub męczeństwa. Czyż zadaniem powieści jest wyłącznie malowanie postaci wyjątkowych, takich, jakich się nie spotyka w życiu lub jakie spotkać się zdarza w jednym wypadku na tysiąc? Na „Anioła śmierci," a raczej na jego autora, spadły między innymi zarzuty na brak wyższego poczucia moralnego w panu Romanie Rdzawiczu, tj. za to, co, obok chorobliwego wprost niekiedy pragnienia miłości, stanowi jeden z rysów indywidualnych tej postaci.

Nie dla wszystkich miłość jest treścią życia, nie wszyscy zgodzą się na powtarzane przez Rdzawicza kilkakrotnie w różnych odmianach zdanie, że jedno jest tylko szczęście na świecie: w wielkiej ciszy wielkiego kochania. Na każdym kroku rozchodzą się kochankowie, zrywają się projektowane małżeństwa, narzeczeni odsyłają sobie pierścionki, zakochują się po raz drugi i trzeci, albo żenią się z wyrachowania lub konwenansu, i „życia ogromne morze" grzmi dalej przed nimi, każda jego nowa fala przynosi im pod stopy nowe zadania, dążenia i cele.

Bywają jednak rzadkie, wyjątkowe wypadki, że ludzie zabijają się, umierają lub warjują z miłości. Trzeźwy ogół ma na określenie jednostek takich stereotypową formułę: „nienormalni." Otóż właśnie w „Aniele śmierci" autor odsłania przed oczyma naszemi głąb duszy jednej z takich jednostek nienormalnych, niemogących pogodzić się z faktem spełnionym, niebędących w stanie wyobrazić sobie, zrozumieć, pojąć, że oto istota ukochana i tak niedawno jeszcze dająca tyle dowodów miłości, może „odejść tak lekko, tak bez jednego spojrzenia, bez zapytania się: co ty zrobisz z sobą? Poprostu tak kopnąć w czoło, tak splunąć na czyjąś miłość, na czyjeś serce."

Miłość Rdzawicza dla Maryi była faktem przełomowym jego życia. Uczucie to uszczęśliwiło go, odrodziło, podniosło, dało cel istnienia, stało się samo celem. Dusza jego podzieliła się odtąd między dwa uczucia, dwie wielkie, potężne miłości: miłość dla sztuki i miłość dla kobiety wybranej. Obydwa te uczucia zespalają się w jego sercu i niejako uzupełniają wzajemnie, aż do strasznej i niespodziewanej, niezem nieusprawiedliwionej chwili zerwania, która, jak piorun, wstrząsa całą istotą duchową artysty i po wielu fazach przejściowych doprowadza go do katastrofy, nieuniknionej przy jego naturze, przy odziedziczonej zwłaszcza skłonności do obłąkania.

Kobieta, która nim wzgardziła, zapełnia od owego fatalnego listu całą jego duszę; wszystkie myśli, uczucia i dążenia Rdzawicza zześrodkowują się na jej postaci; po przejściu pierwszego oszołomienia, tworzy wprawdzie gorączkowo wspaniałe dzieła sztuki, lecz czyni to głównie, by zwrócić jej uwagę na siebie, by jej pokazać, co w jego osobie straciła, a wreszcie, gdy wszelkie nadzieje rozwiać się musiały ostatecznie, chcąc choćaż nasycić swą zemstę. Uczucia jego nie zagłuszyć nie może: ani chwilowe wybuchy szału w płomiennych objęciach porywanych do gondoli Włoszek, ani gra namiętna, ani praca bez wytchnienia, ani nawet blady cień nowej miłości.

Beznadziejne uczucie Rdzawicza powoli wysubtelnia się dziwnie. „Jerzy musi być teraz bardzo szczęśliwy — mówi np. do żony kuzyna swego, dobrej, sympatycznej, prostej i serdecznej pani Laury. Ma swój dom, swoje meble, swój punkt oparcia — i swoją kochaną kobietę. Ja teraz dopiero pojąłem, że może być rozkosz, ot w takiej prostej filiżance, jak ta w jadalnym pokoju, którą stąd widać, dlatego, że się ją posiada wspólnie z kochaną kobietą. Rozumiem, jak może być drogiem każde zapalenie w piecu, dlatego, że to nam obojgu będzie ciepło. Takie białe dwie ręce, które nalewają herbatę wieczorem, mogą być zupełnie czemś anielskiem. I wśród tłumu ludzi to uczucie: „moja kobieta..."

Lecz beznadziejność jest złym przewodnikiem wśród bezgranicznej pustyni życia. Dokoła nieszczęśliwego rzeźbiarza wytwarza się chaos, którego centrem jest Marya, „ta cudowna klątwa jego bytu." Zawisły nad nim czarne skrzydła anioła śmierci, aby umysł jego zamroczyć na zawsze, i to w chwili, gdy nieuchwytna ma-

ra szczęścia wyciągała doń na nowo ramiona...

Naszkicowany przez nas szereg przemian w duszy Romana Rdzawicza odtworzony został przez autora z dużem poczuciem prawdy i umiejętnością zatrzymywania uwagi czytelnika na przemijających stanach psychicznych głównego bohatera powieści. Autor nie uniknął przytem rzeczywiście pewnej rozwlekłości, na którą sam zwraca uwagę, oraz owego „często zupełnie wielkiego wpływu Sienkiewicza,“ do którego przyznaje się również, a który my widzimy głównie w pewnem zmanierowaniu stylu *à la* twórca „Bez dogmatu,“ z czego przedewszystkiem otrząsnąć by się należało.

Lecz mimo wszystko, postać Rdzawicza zajmuje, żyje, występuje z plastyką ogromną. Obrzaza nas w nim chwilami zanik poczucia moralnego lub nawet pewien szarpiący własną jego duszę cynizm bolesny, występujący zwłaszcza w stosunku do szlachetnej, czystej i kochającej Eli Rosieńskiej. Trudno jednak zaprzeczyć, że w tem wszystkiem niema śladu sztuczności i roboty, że wszystko to jest naturalnem i prawdziwem w każdym drobiazgu i wszystko służy w gruncie rzeczy do tem jaskrawszego odtworzenia tej ruiny i pustki wewnętrznej, którą w duszy Rdzawicza pozostawiła burza miłości.

A pod tym względem autor umie operować wybornie zarówno wielkiemi plamami, jak punkcikami drobnymi, podnoszącymi znakomicie plastykę jego kreacyi. Przypomnijmy sobie np. scenę Rdzawicza z garnącą się do niego i odtrąconą w ostatniej chwili modelką, lub ten szereg gorzkich, jak piołun, myśli, tłoczących się do jego mózgu pod wpływem uświadomienia sobie zupełnego, zarówno własnego upadku, jak staczania się w pył i w błoto tego wszystkiego, co tak niedawno kochał, czcił i uwielbiał bez granic.

„Do Zosi Polewskiej, do Zosi Polewskiej — powtarza sobie w myśli. Do Zosi Polewskiej. Jak dawniej... Nic zmieniło się nic... Jak dawniej jeździ do kokot i przywozi do domu ich włosy, które nazajutrz na sobie znajduje. Nie zmieniło się nic... Tylko — miał mieć żonę, kobietę, której się mówi: żono i którą się kocha, jak żonę... Nie zmieniło się nic... Zosia Polewska ma to samo mieszkanie z balkonem, ten sam perski dywan, ten sam szafir na palcu, te same pełne łydki, te same śliczne usta i ten sam uśmiech miły i głupi. Tak samo także mówi: „kotku...“ Nie zmieniło się nic przez ten czas, odkąd poznał Maryę w Klężu — tylko papuga Zosi zdechła. Zielono-żółta papuga, która umiała mówić „koko.“ Ta sama służąca drzwi otwiera. Wszystko tak samo!... Wszystko, wszystko tak samo...“

Ogromna plastyka, przemawiająca tak silnie w poezyach Tetmajera, występuje w całej pełni i w jego „Aniele śmierci.“ Utwór ten roi się od postaci drugoplanowych lub nawet zgoła podrzędnych, a wszystkie one: zacny z kościami Tężel, dobrzy i kochający się, jak gołębie, Przerwicowie, podobna do mch pani Bisza, przeżyty, zmarnowany Drewski, obie panny Rosińskie, przypominające „Zosię z „Pana Tadeusza“ i łąkę,“ wielki muzyk Morski, Stosławscy, Heimertowa, Strzeliska, Czempiński, Konarzewski, cała „gwardya przyboczna“ Maryi, całe towarzystwo wiejskie w Zagórzu, nawet pies Okno, nawet mały kot, „zupełnie biały z różowym nosem i zielonemi oczyma,“ walczący tak mężnie z żórawiem i turkuciem — wszystko to, cały ten tłumny i barwny światek powieściowy porusza się, kipi życiem i utrwala się w wyobraźni naszej na długo. Jest w nim życie i prawda, jest w nim plastyka i siła.

Tem dziwniejsze przeto, że jedna tylko bardzo ważna postać Maryi Tyżwieckiej, której postępowanie wywołuje przecież całą tę burzę w duszy Rdzawicza, zarysowuje się przed oczyma naszemi w konturach mglistych, nieuchwytnych. Znamy ją głównie z dwóch listów, pisanych do narzeczonego, i z tego co o niej w różnych chwilach mówi i myśli odrzucony wielbiciel, lecz wszystko to nie tłomaczy nam jeszcze tego wybuchu końcowego, z którym przyjmuje ona wiadomość o ubliżającej jej rzeźbie Rdzawicza i o jego napadzie obłąkania:

„A łotr! Jak on śmiał! Żeby go już nigdy nie puścili z zakładu! A tak mnie niby kochał! Dobrze mu tak! Lajdak.“

Gdybyśmy znali Maryę Tyżwiecką, jak znamy np. pannę Izabelę z „Lalki“ lub Linetę Castelli z „Rodziny Połanieckich,“ to nie raziłby nas może ten dziwny okrzyk w jej ustach. Autor jednak nie przygotował nas do niego, nie odsłonił nam duszy głównej bohaterki romansu, i z tego właśnie uformować by można najpoważniejszy zarzut przeciwko zajmującemu studyum psychologicznemu, które nam złożył w „Aniele śmierci.“

(D. n.).

Władysław Bukowiński.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

JĘZYKOZNAWSTWO. J. Baudouin de Courtenay: „O pewnym stałym kierunku zmian językowych w związku z antropologią“ (18 str.). Odbitka z *Kosmosu*.

POWIEŚCI. W. Rowiński: „Julka,“ szkice łódzkie (426 str.).

— M. Łopuszańska: „Zmierzch czy świt?,“ w dwu częściach (309, 288 str.). Paprocki.

- H. Sienkiewicz: „Pisma,“ t. IV, dodatek do *Tygodn. Ilustr.*

POEZYE. J. Nowiński: „Biała gołąbka,“ poemat dramatyczny w 5 aktach, dwa tomy, dodatek do *Gaz. Pols.*

F. Sochaczewska: „Poezye,“ serya pierwsza (131 str.). H. Cohn.

NAUKI PRZYRODNICZE. E. Mach: „Odczyty popularno-naukowe,“ (127 str.), tłom. S. Kramsztyk Łódź. wydawnictwo *Przegl. Filozof.*

MONOGRAFIE. R. de la Sizeranne: „Ruskin i kult piękna,“ t. II, tłom. A. Potocki.

ATLASY. E. Niewiadomski: „Atlas do dziejów [illegible]“

„ALBUMU biograficznego zasłużonych Polaków i Polek“ wyszły zesz. VI i VII, zawierające życiorysy i wizerunki: Mickiewicza, Odyńca, Kl. Potockiej, Garczyńskiego, Lelewela, A. Chodźki, Czeczota, Wańkowicza, Bernatowicza, M. Gosławskiego i A. Czartoryskiego. Ilustracye piękne, tekst staranny.

SPRAWY SPOŁECZNE. P. Jan Bloch wydał „Wnioski ogólne“ z dzieła *Przyszła wojna* pod względem technicznym, politycznym i ekonomicznym (365 str.). Autor jest, jak wiadomo, rzecznikiem powszechnego pokoju, a nawet — jak głosi dość naiwny telegram w *Kur. Warsz.* — bawi obecnie w Hadze dla oddziałania na członków konferencyi. Co warta jest ze stanowiska wojskowego zarówno obszerniejsza jego praca, jak ten jej wyciąg, nie możemy sądzić. Zaznaczamy tylko, że wywody p. Blocha spotkały się z ogólnikowemi pochwałami i ostrą krytyką fachową, oraz że świeżo wydana książka zdradza nadzwyczajną pretensyonalność. Dość powiedzieć, że autor dołączył do niej *30* stronic „spisu dzieł, z których korzystał“ — między któremi są bądź niemające żadnego związku z przedmiotem (np. „Don Žuan“ Byrona), bądź też grające zagadkową rolę w tym wykazie (np. *Kreuzzeitung, Vossiche Zeitung, Volkszeitung* itp.).

SPRAWY EKONOMICZNE

ZE STOSUNKÓW ROLNYCH.

Strachy i nadzieje specyalisty.—Mowa Crookesa. — Głody nam zagrażają skutkiem zajęcia wszystkich gruntów na uprawę. — Przeklęta data 1931 r.! — Argumentacya chemika angielskiego. — Obiecujące widoki: azot w powietrzu i siła spadku wody nas wybawią.

Na ostatniem posiedzeniu rocznem brytańskiej Asocyacyi nauk znany chemik, sir William Crookes, wygłosił mowę, która w świecie publicystycznym sprawiła wielkie wrażenie. Chodzi tam o naszą przyszłość, jako spożywców chleba, którego, według zapewnień uczonego angielskiego, ma nam zabraknąć z nadejściem r. 1931, a przynajmniej około tej daty, jeśli nie znajdziemy odpowiednich środków zaradczych, powstrzymujących klęskę głodu! Proroctwa sir Crookes'a rozległy się jako istotna niespodzianka. Zbałamuceni niskiemi cenami zboża, słysząc nieustannie o nadprodukcyi płodów rolnych, przyzwyczailiśmy się patrzeć na nadmiar ziarna, jako na objaw stały i niezmienny. Przed paru tygodniami *Prawda* drukowała artykuł, poświęcony przedstawieniu skutków przesilenia rolnego w Anglii, w którym wykazano, jak pod wpływem niskich cen zboża, mięsa i nabiału uprawa roli w ojczyźnie Johna Bulla cofa się i traci dawny swój charakter napięty, jak pola orne są zapuszczane na najgorszego rodzaju paśniki i jak wreszcie komisya parlamentarna, stworzona dla zbadania stanu rzeczy w teraźniejszości i widoków na przyszłość, wywnioskowała, iż w przyszłości, według wszelkiego prawdopodobieństwa, należy oczekiwać jeszcze większej zniżki cen. Na wystawach księgarskich w Berlinie, w którym obecnie bawię, spostrzegam wciąż nowe książki, zdające sprawę z rezultatów ankiety angielskiej; w prasie spotykam artykuły z powodu jej działalności i wśród takich posępnych dla rolnika obrazów niespodziewaną zapowiedź przyszłych, i to nawet bardzo niedalekich głodów, z widokami podwyższenia cen zboża i pomyślności ziemiańskiej! A w dalszej jeszcze perspektywie, obok wzrastającego dobrobytu rolników, tak samo zwiększająca się nędza tłumów miejskich!

Crookes należy do „orginałów“ w nauce. Wywody jego i pomysły nie zawsze są oparte na odpowiedniej podstawie faktycznej, ale zawsze odznaczają się śmiałością i polotem. I ostatnia jego mowa zawiera wiele ciekawych uwag. Jądrem jej jest dowodzenie, iż przyrost zaludnienia wyprzedzić musi w bardzo bliskiej przyszłości produkcyę ziarna, czemu, z braku gruntów, nie będzie można zapobiedz przez rozszerzenie przestrzeni ornej. Skutkiem tego szczepom rodu ludzkiego, karmiącym się zbożem, zagraża głód i inne dolegliwości, z nim związane.

Przyjrzyjmy się nieco bliżej tym wywodom.

Zaludnienie wszędzie wzrasta, z niem zaś zapotrzebowanie ziarna. W r. 1871 około 371 milionów głów karmiło się głównie produktami zbożowymi, w lat dziesięć później liczba ta wzrosła do 416 mil., wreszcie r. 1891 wynosiła już około pół miliarda. Dla wyżywienia takiej olbrzymiej rzeszy ludzkiej potrzeba odpowiednio wielkich zapasów zboża, które również powinny stale wzrastać z roku na rok. Tymczasem widoki na powiększenie ilości ziarna są coraz mniejsze. Już z r.

1897 na 1898 zbiory były niższe, niż wymagało spożycie, zaradzono temu nadmiarem, który pozostał w spichlerzach po paru latach ostatnich. Rok obecny rozpoczynamy bez posiadania takich zasobów i jeśli urodzaje nie będą bardzo dobre, szczepy białe ludzkości znajdą się wobec niedoboru, zwiastującego nastąpienie czasów jeszcze gorszych. Lata 1882—96, skutkiem zajęcia na uprawę gruntów dziewiczych, dostarczyły chwilowego nadmiaru, który wyprzedził przyrost ludności, nadto urodzaje były wyjątkowo dobre, bo od r. 1886 następuje po sobie siedem obfitych zbiorów zboża i sześć ryżu, dzięki czemu powstały pewne zapasy, pozwalające przetrzymać lata gorsze. Ale zasoby te zostały wyczerpane, zaludnienie wzrosło i będzie jeszcze bardziej wzrastało, chociaż warunki rozszerzenia rozmiarów uprawy są jak najmniej obiecujące.

Dotychczas produkcya ziarna wzrastała, dzięki istnieniu w wielkiej obfitości wolnych przestrzeni gruntu w krajach dziewiczych. Ale przestrzenie te, acz znaczne, nie są jednak niewyczerpane. I na nie musi przyjść kolej, kiedy się brak okaże. Crookes mniema, iż właśnie taka chwila już nadeszła i że dalszy przyrost ludności napotka przeszkody nieprzezwyciężone w niedostatku ziemi, którą możnaby wziąć pod pług i produkować na niej zboże. Jeśli zaś istnieją jeszcze takie grunty wolne, to rozległość, zdaniem jego, jest względnie dość niewielka, a nadto urodzajność słaba. Jak wiemy, wyznaczył on r. 1931 jako datę głodu powszechnego wśród szczepów, utrzymujących się z pokarmów mącznych.

Ażeby wykazać, iż pozostaje niewiele wolnego gruntu, Crookes kolejno bada wszystkie ważniejsze kraje, wytwarzające na wywóz.

W ciągu ostatnich dziesięcioleci, głównie Stany Zjednoczone wywoziły zboże na rynki europejskie i pokrywały niedobór, istniejący w tym względzie w naszej części świata. Lecz zaludnienie w olbrzymiej rzeczypospolitej zamorskiej wzrasta z większą nawet szybkością, niż w Europie; gleby pozostawionej odłogiem a zdatnej na uprawę ziarna, tam już niema, stepy dziewicze już zorano, a stany, które wytwarzały na wywóz, niebawem będą produkowały jedynie na potrzeby miejscowe. Chemik angielski posuwa się nawet do twierdzenia, iż w przyszłem pokoleniu Stany Zjednoczone same będą wymagały dowozu ziarna z innych części świata. W chwili obecnej dostarczają one jednej piątej całego zbioru zboża na globie, wysyłają zaś na rynek taką ilość, iż stanowi ona piątą część w ogólnym wywozie. Gdy usuną się one z liczby krajów, wytwarzających ziarno na rynek wszechświatowy, powstanie na nim luka, której żadne inne państwo nie zdoła zapełnić. Nastąpi gwałtowne zaburzenie, którego skutków na razie niepodobna nawet przewidzieć. Wielu znawców wyrażało nadzieję, iż w Kanadzie istnieją niezmierne przestrzenie gleby, nadające się do uprawy. Były głosy twierdzące, że północno-zachodnie dzielnice jej zdołają dostarczyć zboża dla całego globu ziemskiego. Badacz angielski powątpiewa o wiarogodności tych obliczeń, przyczem przyznamy się, jego logika nie zbyt przemawia nam do przekonania. Jeden z argumentów polega na tem, iż od r. 1884 rozległość nowozajętych gruntów w Kanadzie zwiększyła się bardzo nieznacznie, tak iż ten wzrost jest nieco większy, niż odpowiedni przyrost miejscowej ludności. Inny argument opiera się na tem, że w żadnej okolicy na globie ziemskim ogół gruntów, zajętych na uprawę zbóż, nie przenosi 9% całej przestrzeni ziemi, z czego Crookes wyciąga wniosek, iż w Kanadzie nie może być inaczej, niż gdzieindziej, i że wszelkie nadzieje na powiększenie tam ilości gruntów muszą być płonne. Przyznaje on także, iż ląd N. Holandyi, jako przyszły wytwórca zboża, stanowi obszerne pole przypuszczeń i obrachunków; choć, usposobiony pesymistycznie, z góry zaznacza, iż warunki klimatyczne ograniczają możliwe rozszerzenie produkcyi zbóż tylko niewielką częścią wybrzeża południowego. Zdaje się, pesymizm Crookesa w tym razie jest zupełnie uzasadniony, przynajmniej bez porównania więcej, niż w stosunku do Kanady. Wprawdzie Shelton twierdzi, iż w Queenslandzie istnieje około 20 milionów hektarów, nadających się do uprawy ziarna, z których pod pługiem nie było dotychczas więcej, niż 60 tysięcy! Na to Crookes znowu wprost nie odpowiada, tylko przechodzi do innych dzielnic N. Holandyi, ażeby wykazać, iż wytwórczość tam licha nawet nie zwraca kosztów. Mniej więcej w taki sam sumaryczny sposób załatwia się on i z innymi krajami kolonialnymi. W tym względzie istnieje wiele obliczeń: robili je agronomowie, władze miejscowe itd. Jedne z nich odznaczają się niepomiernym optymizmem i gotowe są bronić tezy o tem, iż jeszcze niezmierzone przestrzenie ziemi oczekują zorania i siejby, ażeby włożone starania wynagrodzić obfitym urodzajem; inni natomiast grzeszą nadmiarem powątpiewania i niedowierzania. Ale, winniśmy to z całym naciskiem zaznaczyć, nie umiemy wskazać ani jednego takiego obrachunku, któryby mógł wytrzymać porównanie z pesymizmem chemika angielskiego. Przytoczyliśmy parę próbek jego argumentacyi; w potrzebie moglibyśmy podać więcej. Dodajmy, iż obliczenia jego pokazują rękę niewprawną w użyciu cyfr z mało znanego zakresu życia. Jego obrachunkom moglibyśmy przeciwstawić inne, robione przez osoby lub instytucye, lepiej obeznane z warunkami i jednomyślnie podnoszące ten fakt, iż rozległość ornej ziemi nie wzrasta, ponieważ wobec nadprodukcyi zboża i niskich cen nie opłaci się wytwórczość. Ten rozdźwięk pomiędzy Crookesem a innem próbami wskazaliśmy przy Kanadzie.

Naturalnie, prędzej czy później, jeśli tylko ludność nieustannie będzie się podnosiła, musi dojść do tego, iż ziemi, potrzebnej na uprawę wymaganej ilości ziarna, zabraknie. Co do tego, chemik angielski posiada zupełną słuszność. Pesymizm więc jego jest uzasadniony, o ile chodzi o ujawnienie takiej możliwości; jest jednak niesprawiedliwiony, gdy pragnie on wyznaczyć niedługi termin — lat np. trzydziestu. Ale pesymizm ów odróżnia się od pesymizmu, właściwego innym. Crookes straszy tylko po to, ażeby pokazać, iż chemia posiada w swojem rozporządzeniu środki, które mogą odwrócić zagrażającą rodowi ludzkiemu klęskę: zaznacza on, że nie mogąc zwiększyć rozległości gruntów i w ten sposób pomnożyć zasobów pożywienia mącznego, możemy przecież niezmiernie podnieść wydajność ziemi. Oświadcza, że nauka rozporządza środkami, które mogą wywołać podwojenie plonów, otrzymywanych obecnie przez człowieka, i tryumfująco zapytuje, jak daleko wobec tego mogą wzrosnąć rozmiary zaludnienia. Lecz nim doprowadzi nas do tego rezultatu, jeszcze straszy, wykazując, jak epoka nasza zagraża nam wyjałowieniem wszystkich źródeł sztucznego nawozu. Jak wiadomo, zboże dla wydania pomyślnego plonu wymaga niezmiernej ilości azotu i najdonioślejsze zadanie agronomii obecnej polega właśnie na wyszukaniu środków, za których pośrednictwem moglibyśmy zużytkować na te cele ów pierwiastek, w takiej obfitości znajdujący się w powietrzu. W postaci swojej bezpośredniej zachowuje się on biernie i zboże zużytkowywa go w formie pośredniej w postaci związków. Chemik angielski usiłuje wykazać, iż można będzie otrzymać takie chemiczne połączenia, paląc azot, który ulega zgorzeniu, pomimo odmiennych w tej mierze teoryj: ale wymaga, ażeby temperatura otoczenia była wyższą, niż temperatura jego palenia się. Jeśli więc znajdziemy środki, pozwalające na taki dopływ ciepła, to zapewnimy sobie nieskończoną ilość połączeń azotowych, przyswajanych przez zboże, a wraz z tem możliwość dowolnie wysokich plonów. Taką siłą, dającą sposób taniego przygotowania związków, jest spadek wody. Jedna Niagara może dostarczyć takiej ilości ciepła, iż otrzymanych połączeń starczy na wszystkie potrzeby powiększonego zaludnienia.

Ostatecznie więc znowu nie mamy potrzeby obawiać się głodu. Po obawach dostajemy już nie promyk nadziei, ale ogromną obietnicę, iż nie zagrażają nam żadne niebezpieczeństwa. Przesadzone postrachy miały na celu przejąć nas tylko tem większą wdzięcznością dla chemii, tej naszej wybawicielki! Mniejsza zresztą, o ile pogróżki i obietnice sir Crookesa są rzetelne. Jedno nie ulega wątpliwości, mianowicie, iż stoimy wobec niezmiernego rozwoju potęg wytwórczych i że głody, które nam mogą jeszcze grozić, nie są nieodzownem nieszczęściem, niejako przekleństwem przyrody, przeciw któremu jesteśmy bezsilni, ale płodem stosunków naszych, niepozwalających na zastosowanie wiedzy, w całej jej rozciągłości, do naszych potrzeb i wogóle produkcyi.

K.

W DALI.

Łódź. Zatwierdzono w Łodzi Towarzystwo akcyjne, celem wydawania pożyczek na zastaw towarów. Założycielami jego są następujący przemysłowcy łódzcy: pp. Juljusz Heinzel, Bernard Słomnicki, Napoleon Heillandt i Stanisław Hertzberg. Ustawa określa działalność Towarzystwa w sposób następujący: a) urządzenie składów w różnych miejscowościach do przyjmowania towarów na przechowanie; b) zlecenia komisowe, dotyczące kupna i sprzedaży różnych towarów; c) wydawanie pożyczek na złożone towary do przechowania, jako też przyjęte w komis; d) ubezpieczenie towarów na wypadek pożaru i zepsucia w miejscu przechowywania lub w drodze, przy przesyłaniu do miejsc przeznaczenia. W tym celu Towarzystwo ma prawo budować własne składy, śpichrze, elewatory, magazyny itp. Biura i oddziały Towarzystwo ma prawo zakładać w całem państwie i zagranicą, z wyjątkiem miast portowych, wskazanych w rozkazie Najwyższym z dnia 14 maja 1887 r., oraz w miejscowościach, w których wzbronione jest przemieszkiwanie Żydom. Kapitał zakładowy Towarzystwa wynosi rb. 1,875,000, podzielonych na 7,500 akcyj, po rb. 250 każda. Z tego rb. 750,000 przeznacza się na urządzenie składów i inne operacye, dotyczące przyjmowania towarów na przechowanie, 500,000 na koszt ubezpieczenia towarów, reszta stanowić będzie kapitał rezerwowy. Początkowo, w ciągu sześciu miesięcy od daty zatwierdzenia ustawy, akcyonaryusze wnoszą po rb. 160 na każdą akcyę, termin zaś do wypłacenia reszty należności na akcyę (rb. 90) wyznacza ogólne zebranie akcyonaryuszów. Zarząd Towarzystwa pozostaje w Łodzi i składa się z trzech dyrektorów, wybieranych z pośród akcyonaryuszów. Według ustawy Towarzystwa, wszelka korespondencya wewnętrzna, buchalterya i prowadzenie ksiąg winny się dokonywać w języku rosyjskim. Korespondencya po polsku dozwoloną jest do komunikowania się z innemi Towarzystwami prywatnemi i osobami.

Ryga. *Ryżskij Wiestnik* zamieszcza następujące obwieszczenie: „Robotnicy fabryki džutowej w Rydze przed kilku dniami zawiesili robotę, urządzili zmowę, żądali podwyższenia płacy, nie zrobili obrachunków z fabryką i w d. 17

maja wywołali nieporządki wespół z robotnikami fabryki „Feniks,“ przyczem napadli na policyę i wojsko. W d. 18 maja nieporządki ponowiły się, tłum burzył domy, podpalał je, strzelał, rzucał kamieniami i butelkami na policyę i wojsko. W tych czynach robotników fabrycznych widoczne są oznaki występnego porozumienia się. Wskutek tego uważam za niezbędne podać do wiadomości: 1) że wszelkie zbiegowiska ludu na ulicach i placach m. Rygi, jako też na dworcach kolejowych, są surowo wzbronione; 2) że na wezwanie policyi zgromadzony tłum i każda pojedyncza osoba, kimkolwiek by była, winni bezzwłocznie i bez oporu zastosować się do żądania władz, 3) że w razie nieposłuszeństwa winni podlegają karze prawnej w całej jej surowości. Poczynając od dzisiejszego wieczoru, zbiegowiska będą rozpraszane przez wojska przy pomocy broni; w takim razie każdy sam będzie sprawcą wszelkich następstw, przykrych dla niego. Jednocześnie zwracam się do wszystkich właścicieli domów i obywateli miasta z prośbą, aby od dnia dzisiejszego zamykali bramy i drzwi, oraz bez gwałtownej potrzeby od godz. 9 wieczorem na ulicę nie wychodzili, celem uniknięcia wypadku, aby spokojni mieszkańcy nie ucierpieli i przez pomyłkę nie byli zaliczeni w poczet uczestników nieporządków. Gubernator Surowcow.“

Petersburg. W nr. 54 „Zbioru praw“ ogłoszono nową ustawę Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie, założonego w r. 1875. Zmiany wyjednał komitet tej instytucyi, zatwierdził je zaś, w porozumieniu z ministeryum spraw wewnętrznych i zgodnie z wnioskami generał-gubernatora warszawskiego, p. minister skarbu. Według nowej ustawy, Muzeum ma na celu uprzystępniać przemysłowcom, rzemieślnikom i rolnikom możność naocznego badania przedmiotów, dotyczących ich profesyi, i oznajamiania się z ulepszonemi narzędziami produkcyi i badań technicznych. Zgodnie z takiem zadaniem Muzeum utrzymuje zbiory mineralogiczne, botaniczne i zoologiczne, zbiory maszyn, narzędzi i przyrządów, oraz rysunków i wzorów, płodów rolnych i wyrobów fabrycznych, bibliotekę, pracownie i gabinety wszelkiego rodzaju, wreszcie ma prawo urządzać w Warszawie szkoły rzemieślnicze i techniczne, z upoważnienia władzy właściwej za każdym razem. Fundusze Muzeum powstają z jednorazowych i rocznych opłat członków, z dochodów, z odczytów i wystaw, z opłat za korzystanie z laboratoryów itd. z darów dobrowolnych itp. Instytucya jest pod opieką departamentu przemysłu i handlu. Członkowie są 3 rodzajów: założyciele, którzy wnieśli lub wniosą po 3,000 rb., rzeczywiści, opłacający rocznie najmniej po 25 rb. i protektorzy, opłacający rocznie najmniej 5 rb. Komitet Muzeum składa się z 15 członków, wybieranych co trzy lata, mianowicie 9 wybieranych przez założyciela i 6 — przez wszystkich członków Muzeum. Corocznie wybiera prezesa i dwóch wiceprezesów. Wszystkich członków komitetu zatwierdza Generał - Gubernator warszawski. Komitet sprawuje nadzór ogólny, kierownictwo zaś bezpośrednie powierza dyrektorowi i wicedyrektorowi, wybieranym z pośród osób, posiadających wiedzę specyalną. Muzeum otwarte ma być dla publiczności w godzinach oznaczonych przez komitet, który też określa umiarkowaną opłatę wejścia. Muzeum ogłasza katalog swoich zbiorów. Ma ono prawo nabywać i sprzedawać nieruchomości i przyjmować zapisy testamentowe, wreszcie sprowadzać z zagranicy bez cła przedmioty i wyroby, potrzebne do użytku i do zbiorów muzealnych. Zbiory i majątek stanowią własność nietykalną, która w razie zamknięcia Muzeum może być przekazana innej instytucyi użyteczności publicznej. — Ogłoszono następujący cyrkularz generał-gubernatora do głównego zarządu prasy finlandzkiej: „Ostatnimi czasy, zgodnie z wnioskiem narady do spraw prasowych przy generał gubernatorze, jego ekscelencya pociągnął do odpowiedzialności prawnej redaktorów kilku dzienników. Zarządzenie takich środków, zwłaszcza połączone z zamknięciem niektórych wydawnictw, musi wywołać w przedstawicielu władzy wyższej w W. Ks. Finlandzkiem uczucia głębokiego żalu. Biorąc pod uwagę, iż skuteczniejsze wykonywanie przez cenzorów ich obowiązków wielce mogłoby uprzedzić samą potrzebę takich objawów niepożądanych, generał-adjutant Bobrikow rozkazał ponownie zalecić głównemu zarządowi prasy wzmocnienie w takich wypadkach kontroli cenzury, celem uprzedzenia w ten sposób samej możliwości ukazywania się w prasie artykułów treści niestosownej. Jego ekscelencyi dobrze jest wiadomem, że zawieszenie wydawnictwa krzywdzi nietylko redaktorów, ich współpracowników i zecerów, lecz i czytelników, a wraz z nimi i — generał-gubernatora, uciekającego się do takich rozkazów jedynie wobec nieodzownej konieczności, ściśle według wskazówek prawa i sumienia. Winnych cenzorów jego ekscelencya rozkazał pociągać do odpowiedzialności prawnej, a w szczególnych wypadkach usuwać z zajmowanych posad. W podpisywaniu artykułów do druku niezbędną jest rzeczą ściśle uwzględniać cyrkularz z d. 12 lutego i zwracać szczególną uwagę na nieprawidłowe tłomaczenie stosunku Wielkiego Księstwa do Cesarstwa, niestosowne przyganianie działaniom świętej Osoby Najjaśniejszego Pana i aktom ustawodawczym, tudzież szerzenie fałszywych pogłosek, mających na względzie sianie nieufności względem konsystującego w W. Księstwie wojska rosyjskiego i względem ludności rosyjskiej Księstwa.“ — *Jużanin* donosi, że gubernator wojenny w Mikołajewie przychylił się do prośby wielu osób z pośród ludności żydowskiej miejscowej i zezwolił na utworzenie komitetu tymczasowego, celem zbierania ofiar i podziału ich między osobami, pokrzywdzonemi w czasie rozruchów w d. 2, 3 i 4 maja. Przewodniczy komitetowi prezydent miasta; komitet ma ukończyć swoje czynności do listopada.

— W dalszym ciągu nadesłano na konkurs poetycki *Prawdy* następujące utwory:

33) Nad Bugiem.
34) Sen.
35) Gwiazda północna.
36) Posąg Wajdeloty.
37) Kazia.
38) Pieniądz i lira.
39) Cel życia mędrca — unicestwienie osoby.
40) Upadek Bolesława Śmiałego.
41) Peu nous importe.
42) Trzciny.
43) Jak można nie wierzyć.
44) Polonez As dur.
45) Do przyjaciela ze wspomnień Żmudzi.
46) Baśń nadwiślańska.
47) Wędrówka ludowa do Brazylii.
48) Apoteoza.
49) Wracające fale.
50) Znak zapytania.
51) Mój pastuszek.
52) Moja lira.
53) Legenda.
54) Ból.
55) Porzucona.
56) Powrót.
57) Złączone ideały.
58) Kutrymowie.
59) Przez głębinę.
60) Tam do końca, a nawet po końcu świata.
61) Noc dwóch wieków.
62) Z przeszłości.
63) Śmierć.
64) Logos.
65) Pod Lipskiem.
66) Indesa.



Zdrowie publiczne. W Aleksandryi dżuma rozwija się coraz gwałtowniej.

— Do ministeryum spraw wewnętrznych wniesiony będzie projekt nowego towarzystwa, zawiązującego się w celu walki z chorobami zaraźliwemi. Towarzystwo to z ogniska swojego, którem jest Petersburg, zakładać będzie, w miarę potrzeby, filie w różnych miastach i nawet wsiach państwa rosyjskiego.

Prasa. Zawieszone przed rokiem wydawnictwo *Gońca łódzkiego* nie będzie wznowione. (*Warsz. Dn.*).

Dziennikowi *Rosya* wzbroniono sprzedaży pojedynczych numerów.

Koleje i komunikacye. Z d. 24 b. m. nabrał mocy obowiązującej układ, zawarty przez zarząd kolei skarbowych z Towarzystwem międzynarodowem wagonów sypialnych, którego mocą wagony sypialne będą krążyły w pociągach pospiesznych, osobowych i kuryerskich. Opłata wyniesie w klasie I-ej 0,6 kop. od wiorsty, w klasie II-ej pół kop. Między innemi, jak donosi *Rosya*, wagony takie będą wprowadzone na kolei Warszawsko-Petersburskiej.

Wystawy i zjazdy. Wkrótce odbędzie się w Petersburgu zjazd ogólny leśników rządowych, zwołany przez departament leśny, z udziałem zarządzających dobrami państwa z gub. Warszawskiej, Kaliskiej, Piotrkowskiej, Płockiej, Radomskiej, Kieleckiej, Lubelskiej, Siedleckiej, Wileńskiej, Kowieńskiej, Mińskiej, Wołyńskiej, Wołogockiej, Wiackiej, Permskiej, Ołonieckiej, Petersburskiej, Pskowskiej, Samarskiej, Tulskiej, Kałuskiej, Ufimskiej. Nowogrodzkiej, Orenburskiej i Elizawetpolskiej.

— W Ruszczuku (Bułgarya) d. 14 sierpnia otwarta będzie międzynarodowa wystawa przemysłowa.

— D. 24 maja w Berlinie otwarto kongres antituberkuliczny, zwołany w celu obmyślenia środków do zwalczenia suchot.

— Wydział kolejowy zwoła zjazd techników, pracujących na kolejach żelaznych.

— Poruszono sprawę zwołania do Moskwy zjazdu inżenierów górniczych.

— Komitet Cesarskiego Towarzystwa wolno-ekonomicznego urządza przy wszechrosyjskiej wystawie w Petersburgu we wrześniu r. b. wystawę gospodarstwa mlecznego. Obecnie za pośrednictwem magistratu warszawskiego wzywa interesowanych do wzięcia udziału w wystawie i dostarczenia danych, mających związek z gospodarstwem mlecznem u nas. Celem wystawy jest zapoznanie ziemian ze współczesnem położeniem mleczarstwa w Rosyi i wskazanie środków do dalszego rozwoju gospodarstwa mlecznego.

— Z polecenia departamentu rolnictwa zjazd owocarski ma się zająć rozstrzygnięciem dwóch spraw: podziału Rosyi na obręby przyrodzone pod względem owocarskim i opracowania dla każdego z tych obrębów możliwie ścisłego zbioru drzew owocowych, nadających się do uprawy w celach przemysłowych.

Przemysł i handel. Zatwierdzono ustawę Towarzystwa rolniczego w Wilnie.

— Zatwierdzono ustawę czwartego z kolei u nas Towarzystwa rolniczego (w Płocku).

Zmarli. Dr. Henryk Zeissberg, znany historyk, dyrektor biblioteki dworskiej w Wiedniu.

— Emil Castellar, hiszpański mąż stanu, historyk

— Anatol Lewicki, w Krakowie; historyk.

Od Sekcyi imienia Chopina otrzymaliśmy odezwę następującą:

„W szeregu zadań, do których spełnienia sekcya im. Fryderyka z warszawskiem Towarzystwem muzycznem usilnie dążyć zamierza, jest utworzenie w Warszawie muzeum Chopina. Zadanie to może być spełnione tylko przy pomocy osób, posiadających pamiątki po Chopinie, przeto sekcya odwołuje się do nich i zanosi gorącą prośbę, ażeby zechciały ze swych zbiorów zrobić ofiarę na rzecz publiczną.

Wszelkie pamiątki, w prywatnych znajdujące się rękach, giną zwykle ze śmiercią właściciela, a rozproszone po świecie, nie mają tego znaczenia, co zebrane razem w jednem miejscu i oddane pod opiekę instytucyi, własność ogółu stanowiącej.

W ten sposób powstało „Mozarteum“ w Salzburgu, muzeum Goethego w Wejmarze i w Frankfurcie nad Menem, muzeum Shakespeare'a w Stratfordzie i wiele innych.

Jeżeli więc cały świat ucywilizowany, oddając cześć swym geniuszom, zbiera najdrobniejsze nawet po nich okruchy, aby tym sposobem

przechować po wsze czasy pamięć o swych natchnionych synach, to i my winniśmy wszelkich dołożyć starań, ażeby uchronić od zagłady i zebrać razem pamiątki po najgenialniejszym może muzyku świata, który jest chlubą i zaszczytem naszym.

Wszystko, co ma jakikolwiek związek z osobą, życiem lub działalnością Chopina, winno wejść w skład muzeum jego imienia: autografy jego listów i nut, listy jego rodziny i przyjaciół, do niego lub o nim pisane, wszelkiego rodzaju wizerunki, oryginały i kopie, jako też portrety jego rodziny i przyjaciół, wszystkie wydania dzieł, czasopisma we wszystkich językach od chwili wystąpienia naszego mistrza na arenę artystyczną, z każdą choćby najmniejszą o nim wzmianką, przedmioty stanowiące niegdyś własność jego lub jego najbliższego otoczenia, słowem wszystko, co z Chopinem może mieć jakąkolwiek łączność w najszerszem tego słowa znaczeniu.

Dla tych przedmiotów znana ofiarność naszego ogółu w niedalekiej może przyszłości zbuduje wśród murów Warszawy oddzielne muzeum Chopina, a tymczasem posiadacze pamiątek po naszym genialnym pieśniarzu składać je mogą za pokwitowaniem na ręce WP. Kowalskiego, skarbnika Towarzystwa muzycznego warszawskiego, w lokalu tegoż Towarzystwa.

Dotąd cztery osoby okazały gotowość ofiarowania swych zbiorów, jako zawiązek przyszłego muzeum. Sekcya nie wątpi ani na chwilę, że wszyscy posiadacze tych cennych pamiątek pójdą za ich przykładem.

Wszystkie pisma polskie upraszamy o łaskawe zamieszczenie powyższej odezwy.

Przydujący sekcyi *H. Dobrzycki.*

Członek komitetu, sekretarz *L. Meyet.*"



OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 21 Мая 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.